Nr. Książki | Autor
1271 | Lemański, J.

JAN 1 '52

...eń filozoficzny

BIBLJOTEKA i MUZEUM Z. N. P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

247

C 1271

1271

KAMIEŃ FILOZOFICZNY

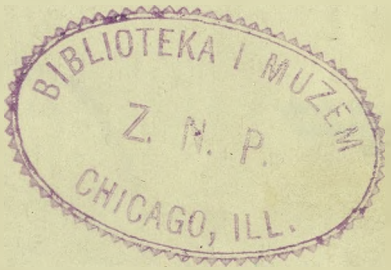

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“ WE LWOWIE

1180

JAN LEMAŃSKI

C-1271

KAMIEŃ FILOZOFICZNY

BIBLIOTEKA I MUZEM
Z. N. P.
CHICAGO, ILL.

ERITIS SICUT DEUS
SCIENTES BONUM
ET MALUM

GENESIS, III. 5.

3147

WÓW 1911. NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO

M. K. POŚWIĘCAM

TREŚĆ:

Wioseczka 1
Wola 37
Kapitalista 49
Gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy 75
Cudzysłów 85
Nić Aryadny 101
Twórca 111
Zło i dobro 117
Sarkazmy 125
A i B 133
Dwie metody 139
Kometa 147
Początek i koniec 153
Powieść o fałszywym rublu 163
Kamień filozoficzny 207

WIOSECZKA

1.

Panna Alina mieszka w charakterze rezydentki u żonatego brata na wsi.

Jest to osoba stara, brzydka i garbata.

Jeżeli dzień pogodny, panna Alina regularnie co dwa tygodnie wietrzy swój skarb: stare swoje suknie. Rozwiesza je z pilną systematycznością na długim sznurze w alei ogrodowej, blizko dwora, i, jak jenerał na rewii, przegląda.

Właśnie dziś wypadł ten dzień uroczysty.

Słońce, świecące wszystkim rzeczom, i pięknym i brzydkim jednako, wydobywa na jaw kolory tego staropanieńskiego przyodziewku: żółte, cynamonowe, czarne, białe i fioletowe.

Panna Alina, z okularami na dużym mięsistym nosie, przechadza się tam i z powrotem, z lubością rzucając oczyma na swoje robrony z „gipiurą“ i z dantelami.

Tyle w nich dla niej wspomnień!

Oto w tej sukni z jedwabiu przystępowała w Częstochowie do komunii świętej; tamta rypsowa z żółtą gipiurą była na niej podczas spowiedzi u księdza M-wicza; w tej cynamonowej była raz na h e c y czyli w cyrku z Jasiem, jeszcze nim się był ożenił. Dawno to już, dawno...

Lepiej było jej wtedy. Młoda była, światowość ją obchodziła więcej. Miała przyjaciółki... Czy ona pamięta mię jeszcze ta kochana Agnieszka? Ileśmy to z nią przeżyły! Razem do spowiedzi, razem odbywałyśmy pokutę... A zwierzenia o tym księżulku, co to taki nieśmiały był, miał takie białe zęby i zawsze się perfumował. Gdy się spowiadały, konfesyonał pachniał, jak wielki słój od konfitur. Och, ten ksiądz skromniś! pamiętam... zaśmiała się panna Alina.

Z jej pamięci wydobywają się wspomnienia jedno za drugiem, podobne do zapachów jej starej garderoby.

W atmosferze tych reminiscencyi pannie Alinie robi się coraz rozkoszniej. Usiadła na ławeczce i duma.

Lato jest. Świeci słońce i zdaje się radować, że w jego promieniach rzeczy wszystkie, i piękne i brzydkie, doznają rozkoszy.

Leciuchna fala powietrzna rusza listkami drzew których cień krótki i czarny oznajmia południe.

Żółta wstążka od staromodnego kapelusza panny Aliny zwabiła motyla. Usiadł na niej, zwiedziony jaskrawością barwy, jak na kwiecie, sam jak ponsowy kwiat, któremu się zachciało fruwać. Usiadł na wstążce, ale zmiarkowawszy, że to jest tylko materya, zerwał się i odleciał tam, gdzie była kraina miodu i wonności.

Grzędy kwiatowe odcinały się na tle zielonem, niby barwna fala ludu, gdy wylęgnie z kościoła w niedzielę. Pospolity gmin stanowiły nagietki, bratki różnych odcieni i fiołki rywalizujące w skromności z rezedą. Tu i owdzie puszyły się pełnokrwiste gieorginie mające pozór dorobkowiczów, naśladujących kształtem arystokratyczne róże, które z wrodzoną dystynkcyą uśmiechały się do siebie ironicznie i najeżały swe

kolce, gdy która z tych parweniuszek poruszona wiatrem zbyt poufale do nich zbliżyć się chciała. Jak bogacze sterczały wysoko zasobne maki, liczące ziarnka na miliony. Płatki ich słabo osadzone u niektórych poodpadały zupełnie. Ale to nie odejmowało im pewności siebie: mniejsza o płatki, byle były ziarnka. Ponad wszystkie zaś wystrzelał słonecznik wyniosły. Ten utrzymywał, że jest geniuszem kwiatów, ponieważ słońce stosuje się do jego obrotów, starając się zawsze twarz mu oświecać. Z wysokości swego badyla z politowaniem patrzał na niższych od siebie. Wśród tego kwiecia rozrzucone ule. Tu nowej budowy, zgrabne, malowane, z ulepszeniami — niby pałace możnych; tam grubo-pękate strzechy słomiane poczerniałe od deszczów.

Nad całem tem państwem wznosiła się atmosfera zapachów wonnych. A gdy wiatr wionął w stronę łąki płynęła strugą i zlewając się z zapachem dzikiego kwiecia, ziół i traw skoszonych, tworzyła cudny aromat. Komu zdarzyło się mijać ten prąd pachnący, przystawał mimowoli, by parę razy odetchnąć nim z rozkoszą. Odchodząc spoglądał zwykle w stronę ogrodu. Gdy wiatr zmienia kierunek, aromat ów płynął w stronę dworu. Tu naprzód musi staczać walkę z rozwielmożnionymi wyziewami kuchni, poczem osłabiony znacznie, umyka w kierunku obór, gdzie go czeka ostateczna zagłada.

2.

Kredens jest to pokój, gdzie króluje Ignac, lokaj. W tej chwili zakasał rękawów i szoruje szkło i talerze.

Nie ma dziś humoru. Dostał burę od pani dziedziczki za coś tam i pełen jest rozgoryczenia. Czyszcząc karafkę, trzyma ją tak szorstko za szyjkę i tak nią bezceremonialnie potrząsa, jakby to niezawodnie chciał zrobić z samą panią dziedziczką.

Wchodzi do kredensu panna Alina, aby z Ignacym pogwarzyć.

— No co? czyścisz?

— A ino — odmrukuje Ignac.

— A nie zbiłeś czego?

Ignac brutalnie terpnął karafkę, wylał z niej wodę z piaskiem, spojrzał pod światło przez nią i rzekł:

— Robię jak potrza, to i nie stłukę.

Rozmowa przerywa się. Panna Alina szuka w myśli, coby powiedzieć dla rozruszania Ignaca. Spogląda na wyczyszczoną karafkę, na talerze poustawiane jeden na drugim. Talerz przypomina jej patenę od kielicha, ołtarz, kościół... od kościoła niedaleko do plebanii, dokąd zachodzi w czasie odpustów na wizytkę do proboszcza.

— A wiesz ty Ignac, że to już tylko dwa tygodnie do odpustu Matki Boskiej?

— O, tyle jeno!

Ignac zaczyna się rozpogadzać. W czasie odpustu bywał pożyczany księdzu do obsługi i obrywa mu się parę rubli od gości. Kontent więc. By radość swą zamanifestować, chwycił ścierkę za róg i skrobnął nią psa pod stołem pracującego zawzięcie nad ogryzaniem kości.

A nie pójdziesz, ty psia...

Pies ze skowytem czmycha za drzwi. Potem Ignac już sam zaczyna.

To to już niedługuśko... To to ta Matka Boska, co w u t a r z u na prawo?

— Nie, ta co na lewo zaraz przy ambonie.

— A wim, wim.

Po chwili :

— Ładny ten nasz kościół, ale pono nigdzie niema takiego jak w Lelowie. To ci, panie, kościół!... jak spojrzysz w górę na wieżę, to zara chce się kichać — taka ci wielga!

— E, mój kochany, są jeszcze większe i ładniejsze kościoły...

— E, co mi tam pani mówi, ja urodziłem się w Lelowie, tam mój dziad, pradziad, i nigdzie niema ładniejszego.

— A byłeś ty w Częstochowie? Tam dopiero kościół.

— Ja tam nijakich Częstochowów nie widział, a co w Lelowie najładniejszy to najładniejszy.

— Gadaj z głupim! Co tam twój Lelów naprzeciw Częstochowy.

— Głupim albo nie głupim. A co swój rozum mam to mam, i największy kościół w Lelowie.

— Klituś bajduś. Głupiego nie przekonasz.

— E, co mi tam pani będzie barłożyła. Kiedym głupi to ze mną nie gadać i kwita.

Wchodzi brat Jaś i, nie zauważony, słucha.

Przy ostatnich słowach Ignaca, jedną ręką dał mu w kark, drugą schwycił siostrę i wciągnął do pokoju żony.

— Wystaw sobie, Maryniu, co za sens. Wchodzę do kredensu, a t a w najlepsze kłóci się z lokajem.

A zwracając się do panny Aliny:

— Wstydziłabyś się, stara idyotko, sprzeczać się, jak dwa dzieciaki: a ja mam braciszka, a ty nie, aha! a moja babcia umarła, a twoja nie, aha!... Jeżeli sama się nie wstydzisz pospolitować ze służbą, to miej wzgląd przynajmniej na to, że jesteś moją siostrą. Oj ty głupia! Ale garbatego, to chyba mogiła wyprostuje.

3.

Panna Alina jest łakoma. Cierpi nad tem w skrytości serca, ale nie może się oprzeć. Szatan kusiciel szepce jej, że natura ludzka słaba, że nawet sprawiedliwy siedmdziesiąt siedm razy upada na dobę; że upadł Dawid; że Piotr święty zaparł się Boskiego oblubieńca: więc czyż ona, grzesznica, ma być lepsza od nich?

Dla odpędzenia złych myśli otwiera pismo święte.

— „A jeżeli tedy prawe oko twoje gorszy cię, wyrwij je i rzuć od siebie. Albowiem pożyteczniej jest tobie, aby zgnił jeden z członków twoich"...

Nie, to nie do niej się stosuje, nie może przecież wyrwać żołądka i precz odrzucić.

Kilka kartek dalej:

— „Odstąpcie odemnie wszyscy, którzy nieprawości czynicie, albowiem wysłuchał Pan głosu mojego"...

Duszę panny Aliny przepełnia rozrzewnienie i skrucha. Bije się w piersi, kiwa głową i szepce: Boże mój, Boże, spraw przez łaskę Twoją przenajświętszą, aby i moje wołanie niegodne wysłuchanem było. Natchnij mię Duchem Świętym, daj mi wytrwanie.

I tu panna Alina wzdycha zapadłą piersią.

Ale modlitwy takie rzadko znajdowały posłuch u Boga. I często pokoik panny Aliny był świadkiem jej upadków.

Ma u siebie szafeczkę, od której kluczyk nosi razem z medalionikami i szkaplerzem na piersiach. Ta szafeczka to jej lamus. Chowa w nim łupy swoje: kawałek bułki, cukier, owoce, karmelki, któremi czasami obdarzano ją w przystępie wspaniałomyślności. Wieczorem, kiedy jest sama, wtedy delektuje się tem wszystkiem, jak mysz w spiżarni.

Na odgłos zbliżających się czyichś kroków, spiesznie zamyka szafeczkę, chowa pod poduszkę specyały, których nie zdążyła zamknąć i chwyta za książkę od nabożeństwa.

Takie są tajemne rozkosze panny Aliny.

Często jej słaby żołądek protestował i oburzał się przeciwko tym nadużyciom; często blada i znękana musiała dziękować za obiad. Była to jej pokuta.

Za pokutę uważa również postępowanie z nią bratowej, dziedziczki.

Panna Alina, gdy zmiarkuje, że już czas na herbatę, zjawia się w jadalni i czeka. Ale bratowa umyślnie zwłóczy z siadaniem do stołu. Panna Alina postoi, postoi i wyjdzie na chwilę. Wtedy jej dręczycielka raptem zaprasza do śniadania wszystkich obecnych.

Towarzystwo siada, pije, je.

— No a gdzież ta rezydentka? Wołajcież jej.

Panna Alina zawołana przez Ignaca wchodzi.

— Moja pani — odzywa się dziedziczka — nic pani nie robi, to przynajmniej pilnowałabyś się, kiedy jeść dają. Ja nie mam dziesięciu lokajów, żeby posyłać za każdym razem.

Panna Alina, sfukana, siada bojaźliwie na swojem miejscu, gdzie stoi dla niej nalana, podczas jej nieobecności, herbata.

— Czy to dla mnie, proszę pani? — zapytuje nieśmiało.

— Toć nie dla Ignacego ani Walentego, przecież stoi przy pani.

Panna Alina zapytywała dla tego, że herbaty mocnej nie lubi; że wie, że bratowej o tem wiadomo, i że ta herbata, która stoi przed nią, jest jak smoła czarna.

4.

Pannie Alinie herbata, tak złośliwie nalana, nie smakuje. Tłumiąc w sobie złość, spogląda przez okno na krajobraz. A krajobraz, tak jak i słońce, obojętny na cierpienia i radość w małym dworku wiejskim, rośnie sobie i kwitnie, aż miło.

Na pierwszym planie główki kwiatów lekko się kołyszą i coś widać sobie szepcą. Dalej, poprzez rzadkie w tem miejscu drzewa ogrodu widać szmat łąki. Jest właśnie pora sianożęcia. Długi rząd kosiarzy w białych koszulach wydaje się sznurem dzikich łabędzi, albo i bocianów. Kosiarze sieką, wyrzucają kosami jednocześnie, miarowo. Czasem, który przystanie, oprze kosisko o ziemię, powoli wydobywa z za pasa osełkę, podzwoni, podzwoni o kosę, pomigoce nią, jakby lustrem rzucającem blask z dala i znowu schylony siecze.

Po lewej ręce ciągnie się długa linia topoli szosowych. Na samym końcu przecina ją prostopadle wieża kościelna. Na prawo widnokrąg obejmuje półkole lasów.

Dziedziczka, widząc że panna Alina wzgardziła herbatą, mówi z przekąsem:

— Cóż to? Nie smakuje pani? Było odrazu powiedzieć, przynajmniej bym cukru nie marnowała.

— Proszę pani o lżejszą.

— A cóż to znowu za grymasy? Patrzcie państwo! Marcepanów się pani niedługo zachce. O, ja wiem, pani by tylko dobrze jadła, piła i wylegiwała się do góry brzuchem.

Milczenie ciężkie.

Dziedziczka przestrzega, żeby chleb był równo i gładko krajany. Pannie Alinie trzęsą się ręce, zwłaszcza pod kontrolującem, szyderczem spojrzeniem swej dręczycielki, więc robi w bochenku doły i wyżłobienia.

Wówczas bratowa z furyą wyrywa jej chleb, równa go i rzuca na stół.

— Że już cierpliwości doprawdy brakuje! Tyle lat uczę panią chleb krajać, a pani zawsze po swojemu! To nie do zniesienia!

Aby uniknąć podobnych scen, panna Alina woli już nie krajać, nie dotykać chleba. A że i herbaty nie piła, więc odchodzi od śniadania na głodno i z utęsknieniem oczekuje obiadu.

5.

Jest obiad. Panna Alina czeka, aż bratowa nałoży jej na talerz, jak zwykle.

Czeka. Ale bratowa udaje, że jej nie widzi. Na koniec spostrzega ją.

— No, na kogoż pani czekasz? Ach, jak ja nienawidzę takiej pokory obłudnej.

Panna Alina nabiera na talerz więcej niż zwykle.

Dziedziczka zwraca się do męża.

— Patrz no, mój Jasiu, nawaliła sobie kupę, że tylko jej nos widać.

— A, moja kochana, już daj mi ty z nią pokój, niech je, kiedy może.

A zwracając się do siostry:

— Jedz, jedz, nie bój się, i tak umrzesz.

Panna Alina skonfundowana, chce napowrót odłożyć z talerza na półmisek. Dziedziczka wlepia w nią okrutne oczy i trzyma ją tak jak pod pręgierzem. Ofiara wije się, miesza coraz bardziej, coraz wolniej porusza ustami, w końcu kładzie łyżkę i ma ochotę do płaczu.

— A co! — wykrzykuje bratowa: — Nie mówiłam? Nabierze sobie tyle, a potem zostawia. Ja dla świń nie gotuję, moja pani!

Milczenie.

Panna Alina przepada za leguminą. Zwłaszcza lubi krem z rodzynkami.

Bratanek „Władzio“ zwraca się do swej siostry „Wandziuni“.

— Wiesz Wanda, że dziś na deser będzie kremik?

Panna Alina zaczyna cieszyć się. Rozjaśnia oczy, staje się rozmowną. Wtem, po jarzynie, dziedziczka oznajmia:

— No moi państwo! Dziś obiadek krótki. Już koniec.

Mówi tak a oczy jej, zwrócone ku pannie Alinie, śmieją się szyderczo.

Twarz panny Aliny zachmurza się smutkiem i rozczarowaniem.

Kiedy przy obiedzie dawano groch, którego panna Alina niecierpi, wówczas niechcąc wywoływać szykan bratowej, nabiera niby trochę, rozgniata po talerzu, kładzie cokolwiek do ust i nieznacznie, ukradkiem, wypluwa w lewą rękę pod stołem. Ale bystre oko bratowej czuwa, jak Argus.

— Brr!... Patrz-no Jasiu, co t a wyprawia! Że też to nawet przy stole się nie umie zachować.

— A daj ty mi święty pokój razem z nią — odpowiada Jaś, wyrwany z gospodarskich rozmyślań. Właśnie przypominał sobie, że dziś kupiec przy odważaniu zboża w szpichlerzu powiedział do niego, do dziedzica:

— Ny, ja wolę, żeby mi wielmożny pan dał w pysk, niż żeby mię głupi pocałował. Ten komplement żydowski teraz dziedzic podczas obiadu przeżuwa z pewnem zadowoleniem. Tak. Mądry jest. Z niczego dorobił się fortuny własną pracą i zapobiegliwością. Dom ma, utrzymuje krewnych ubogich...

6.

Po słocie nastaje pogoda; po męczarni ulga; po poście — zapust.

Dziś pani dziedziczka usposobiona jest dobrze. Czy lustro powiedziało jej coś przyjemnego; czy mąż był dla niej wyjątkowo milszy; czy wspomnień drogich pieszczota ją w nocy nawiedziła; czy też bez powodu, tak sobie ot, przez tajemne działanie jakichś niewiadomych przyczyn: dość że nastrój pani domu dziś wyborny.

Znamieniem tego jest fakt, że na obiad dziś kremik — specyał panny Aliny.

Właśnie Ignac wnosi go na półmisku i uroczyście stawia.

Kremik jest bielutki, jak śnieg, i nawet kształtem przypomina śnieżną górę, jakąś Jungfrau, albo Mont Blanc, w której, podobne do głazów, przez lodowce wessanych, sterczą tam i sam powtykane konfitury z wisien i malin.

Pani dziedziczka wielką łyżką, jak oskardem rozdłubuje ten Mont Blanc czy Jungfrau i obdziela wszystkich.

Nawet pannie Alinie dostaje się porcya duża, cokolwiek może przesadnie duża.

Oddziabnąwszy ją i ułożywszy na talerzu, dziedziczka podsuwa ją pannie Alinie.

— Na, ciotko, pyf! — ciotka!

Bo trzeba wiedzieć, że i to jest oznaką pogodnego usposobienia dziedziczki, że kuzynkę swoją nazywa nie panią, tylko ciotką.

— Pyf! — ciotka.

Ten wykrzyknik „pyf“ zaczerpnięty z dziedziny stosunków raczej psich niż ludzkich, nietylko że panny Aliny nie obraża, lecz przeciwnie: napełnia ją rozradowaniem jakiemś i ufnością w dobroć swej dręczycielki — ufnością, która tak często bywała zawodzona.

Pannie Alinie kremik smakuje nad wyraz. Pożera go chciwie, ze drżeniem rąk i z mlaskaniem ustami. Wyskrobuje talerz, jakby chciała zjeść i jego białą polewę podobną do kremiku.

Skończywszy, panna Alina ogląda się na dzieci. Przed Władkiem stoi porcya niedojedzona.

— Czy Władziuś nie je? — pyta panna Alina.

— A gdzież cioci zmieszczę? — odpowiada Władziuś: — może ciocia skończy?

Podsuwa talerz.

Panna Alina chwyta go, jak rozpędzona młockarnia słomę. Chwyta, wyjada, wyskrobuje kremik i namyśla się przez chwilę, czy talerza nie wylizać. Chęci tej przecież nie doprowadza do skutku, chociaż świeci się ona w jej oczach.

A bratowa to widzi, i zaczyna ją zdejmować żal swojej łaskawości.

Gdy wstano od stołu, panna Alina podchodzi do bratowej i dyga.

— *Merci madame!*

Ale humor dziedziczki już się zepsuł. Na dyg panny Aliny nie odpowiada.

Merci madame! — powtarza ciotka.

Nic.

Nie zrażona tem, jak pies, który gwałtem chce polizać rękę, choć mu jej bronią, kręci się dopóty ze swojem dyganiem i powtarzaniem swego „*Merci madame*", aż zniecierpliwiona dziedziczka doprowadzoną jest do wybuchu.

Merci! merci! merci! — i daj mi już pani po obiedzie odpocząć! — woła z gniewem.

Ciotka zadowolona, że spełniła swój obowiązek grzecznej wdzięczności, z czystem sumieniem, najedzona, szczęśliwa, odchodzi do swojej pokoiczyny, aby się pomodlić o przedłużenie, takiej jak dziś była, pogody.

Ale modlitwa czyż zawsze jest wysłuchana?

7.

Wschodząca jutrzenka nie zdążyła jeszcze w różaność swoją ziemi oblec, kiedy już po całym dworze

rozlega się ostry, donośny, piskliwy głos pani dziedziczki.

Czy zmarszczek odkryła na twarzy więcej; czy włosów siwych dręczona przybytkiem; czy ogarnęło ją nagle zimne przypomnienie, że pani sędzina Kowalska na imieninach w Dróżykowej doznała większych od niej honorów; czy brak czułości ze strony Jasia; czy ten, czy inny powód; czy też zupełnie bez powodu, ale dziś pani dziedziczka jest jak huragan, wróżący klęskę.

Nawiedziła już ogród, gdzie od ostatnich nawymyślała ogrodnikowi zato, że, ścierwo, nie przykrył na noc matami szyb w inspektach. W stajni skrzyczała forysia, że nie wybrał koniom cugowym rogu.

Zziajana, rozdygotana, wpada do kuchni.

— Maryśka, gdzie ziemniaki dla prosiąt? ugotowane?

— Juści.

— Gdzie są? pokaż.

Maryśka niechętnie wydostaje z poza drzwi sagan i okazuje jego zawartość.

— Tyle tylko?

— A ino.

— A ty klępo jakaś. Gdzie więcej?

— A każbym ja działa? przeciem nie zeżarła. Świniam ja to?

— Milcz błaźnico jedna! Odszczekiwać jeszcze będziesz, ty fąflu, ty graśtygo przemierzła! Toć dałam ci wczoraj dwie miarki, a tu i garnca nie będzie! Jeszcze pyskiem szczekasz, ty sztupigrale przejęty, telbuchu ty, landodryndo! Nie wiesz, bydle jakieś zapowietrzone, że jak pan wróci, to ci takie lanie sprawi, że po ziemi

będziesz kiecką jeździła, złodziejko ty! Ja kraść na was nie będę. Gdzie kucharz? Wołać mi tego parzygnata. Już po szóstej, a ten kopcidym nie przyłazi! Ja z was powypędzam to państwo. Ignac! Gdzie Ignac? Nakrywać do herbaty.

Ignac odnajduje się i nakrywa.

Dzieci już powyciągane z łóżek, siedzą cicho, jak trusie. Siada i pani dziedziczka. Rozmachane jej szczęki nie mogą się uspokoić. Wzburzenie gniewne jeszcze nie przeszło.

Władek nieśmiało szepcze.

— Mamusiu, czy ja będę mógł dziś z mamusią pojechać konno do tatki w pole?

— Nie odzywaj się do mnie, bom zła taka... Ignac idź proś pannę Alinę na herbatę.

Tymczasem panna Alina, jak dziecię nad przepaścią, zasypia, marząc o nowym kokosowym różańcu, przyobiecanym jej przez księdza proboszcza... Wtem, wyrywa ją z zachwytów sennych raptowne otwarcie drzwi i brutalne wołanie Ignaca:

— Proszę pani, niech pani wstaje, bo państwo już pijom arbatę.

Panna Alina wiedząc, jak jątrzy się bratowa, jeżeli kto z domowników pozwala sobie na spóźnienie do śniadania lub do obiadu, zostaje wobec tego niby piorunem rażona. Jest jej na przemian to zimno, to gorąco. Nie wie sama co począć.

— Mój Ignasiu, proszę Cię, powiedz... powiedz, że jestem dziś chora.

Ignac odchodzi i oznajmia:

— Panna Alina jeszcze spała, p e d a, że chora.

— Cha, cha, cha! Dam ja jej chorobę.

Zrywa się i wbiega do ciotki. Ta chcąc, jak tarczą, osłonić się pokorą i uległością, mówi:

— O, paniusia już wstała, dzień dobry paniusi!...

Niestety bezwzględnie zdeptano jej perły grzeczności:

— Moja pani, udajesz pani pobożność, a nie wiesz, że największym grzechem jest kraść dzień panu Bogu!... Wstyd doprawdy! To ludzie oddawna na nogach, a pani jeszcze się wylegujesz! Gnij pani, gnij dalej. Będziesz miała chleb, jak go psu z gardła wywleczesz!

Chce odchodzić.

— A to co? skąd ta świeca?

— To proszę pani, wczoraj prosiłam Ignaca, żeby mi przyniósł z salonu, bo nafty zabrakło.

— Ciekawam co pani masz do roboty w nocy?

Otwiera drzwi do kredensu.

— Ignac? Jak ty śmiesz bez mego pozwolenia dawać świece, gamoniu ty! Takiś głupi jeszcze jak cielę majowe!

Zabiera świecę i wychodzi rzucając jeszcze:

— Próżniaków tylko i darmozjadów opasaj i utrzymuj. Bierz skąd chcesz, a dawaj. Że ja nieszczęśliwa dnia nie mam, żeby się nie użerać i nie umordować.

8.

Dzisiaj oboje państwo wybierają się z wizytą do Woli, do pani sędziny Kowalskiej.

Pani ubrana w odświętne szaty, szeleszczące za każdem jej poruszeniem. Ma dwie bransolety na ręku, złoty łańcuszek na szyi z zegarkiem. Włosy ukarbo-

wane. Uważa, aby się o coś nie otrzeć i nie pomiąć sukni. Co chwila spogląda w lustro, to wprost to z ukosa; czasem patrzy na dół, na buciki.

Pan Jaś, również wyniedzielony, drzemie na sofie.

Panicz i panienka przyglądają się wystrojonym rodzicom.

Pani dziedziczka wydaje ostatnie rozporządzenia przedodjezdne.

— Maryna! Chodź, to ci zasypię herbaty do czajnika. A odsuń-że się, ty klępo jakaś. Nie widzisz, że możesz mię powalać? Obrzydłe dziewczysko. I to chce być pokojówką. Ruszaj plucho, przynieś cebrzyk z masłem, to wam wydam do podwieczorku... albo czekaj ty pokrako, pójdę sama.

Wychodzi.

Na sofce odzywa się mruczenie pana.

— No, już tam? Człowiek tylko po nocach musi jeździć. Krocset dyabłów! Która godzina? piąta! Gdzie pani?

Pani wchodzi, szeleszcząc suknią i trzymając z daleka od niej ręce, widać powalane masłem.

Pan do pani ze złością:

— Kazałaś zaprzęgać?

— Zaraz, zaraz, Jasieczku, niedługo podjedzie.

Pan z rosnącym gniewem:

— A niech to pioruny zatrzasną! Mówiłem, zaraz po obiedzie jechać, nie: ona koniecznie, żeby po nocy się włóczyć.

— Ależ, mój Jasieczku, przecież po obiedzie spałeś.

Pan z furyą:

— Głupiaś! Mówiłem, do krocset, w dzień jechać, nie po nocy! Do milion dyabłów. Będę tak przez całą

drogę klął. Nie jeździj po nocy... Albo nie, lepiej nie pojadę. Nie pojadę.

Z pasyą i tupaniem nogami:

— Nie pojadę!

— Ależ, Jasieczku, dlaczegoż na mnie się gniewasz? Przecież dopiero o trzeciej przyjechaliśmy z kościoła, potem obiad...

Pan zaciskając pięście:

— Nieprawda. O trzeciej już położyłem się spać. Łżesz zatem, chole..... Masz na początek. Przez całą drogę będę ci tak klął.

Wymachuje pięścią i uderza się o krawędź łóżka, co przepełnia miarę jego wściekłości.

— A niech to siarczyste!

Z groźną stanowczością:

— Nie pojadę!

Zaczyna zrzucać z siebie ubranie.

— Maryna! każ wyprzęgać.

Maryna chce wyjść.

— Albo nie! Maryna! Nie każ wyprzęgać. Pojadę, ale nie do Woli. Pojadę do Dróżykowej.

Sapie i ubiera się na nowo.

Pani idzie do swego pokoju i stamtąd woła:

— Maryna! Szarą sukienkę. Rozbieram się.

Pan kończy się ubierać. Skończył i zagląda do pani już rozebranej z szat odświętnych.

Zła jest.

— No, jedziesz? — pyta pani cokolwiek łagodniej.

Pani zatrzaskuje z hałasem drzwi swego buduarku.

— Jedź sam!

Pan znowu wpada w gniew.

— Czekaj, ty dyablico. Pojadę ja teraz gdzie razem z tobą! Jadę sam.

Zapala na drogę papierosa i upuszcza zapalniczkę. Panięta suną z pośpiechem, by ją podnieść. Spełniwszy to, chowają się do kątów. Pan, łomocząc drzwiami, wychodzi.

Po chwili słychać turkot. Odjechał.

Pani w buduarku, w szarej sukience siedzi i płacze.

9.

Dziś piątek. Wszyscy jedzą z postem, wyjąwszy pana domu. Zwykle w ten dzień Jaś bywa chory na żołądek, i dlatego je dwa kawały befsztyku, ze specyalnie wybranego mięsa, ku zgorszeniu panny Aliny.

Właśnie, z wąsami w talerz zwieszonymi, zajada swoją porcyę, łypiąc od czasu do czasu oczyma w kierunku siostry.

— Ciotka, a nie oskarz mnie przed proboszczem, gotówby rozgrzeszenia nie dać.

— Mój jasiu, ja nie jestem panią niczyjego sumienia. Na sądzie boskim każdy za siebie odpowie.

— Moja ciotko, do tego czasu to pan Bóg może sto razy o moim befsztyku zapomnieć. Zresztą myślę, że się za bratem przecie, w razie czego, wstawisz.

Panny Aliny usta ściągają się boleśnie. Mówi z wyrzutem:

— Jak to przykro słuchać takich bluźnierstw mnie — siostrze!

Jaś, który już zjadł półtora kawałka, zaczyna się irytować.

— Ot, głupia jesteś, moja pani siostro.

— Ja wiem o tem...

Tu oczy pannie Alinie wilgotnieją; kładzie nóż i widelec, przestaje jeść i mówi drżącym głosem:

— Ja wiem, że aż nadto od wszystkich to słyszę, żem głupia. Ale i pan Jezus znosił prześladowanie.

Bratowa robi wzgardliwe wykrzywienie ust. Jaś ze złością rosnącą kończy swój befsztyk.

— .....I ja je znoszę — mówi dalej z płaczem panna Alina. — Ale ty mój Jasiu, przynajmniej na dzieci miałbyś wzgląd i nie gorszył ich, kiedy moje oczy i uszy obrażasz.

Ta ostatnia uwaga wydaje się dziedzicowi słuszną. Rzeczywiście powinien dawać dobry przykład. Wszakże i hrabia Morsztyn, sąsiad, dla przykładu samego w piątek pości, chociaż religijny nie jest.

Słuszność więc admonicyi siostrzanej uznał, ale to jeszcze bardziej go rozirytowało.

— Et, milcz ty! — huknął i rzucił na stół nóż i widelec — że też, do cholery, człowiek zjeść spokojnie nie może. Chcecie, żebym wam tak ciągle klął? A żeby was!...

Chce odejść. Żona zatrzymuje go.

— No, mój Jasieczku, uspokój się.

— Ale, moja kochana! Sadzasz mi ją zawsze naprzeciwko nosa. Albo mnie dawaj osobno jeść, albo ją gdzieindziej... bo do krocset dyabłów to nie do wytrzymania.

Panna Alina płacze.

— Kiedy ci tak ze mną źle, to mogę nie przychodzić do stołu wcale. Mój Boże, mój Boże! I to brat rodzony!

Odchodzi, szlochając.

Jaś znowu porywa się i chodzi wielkimi krokami po pokoju.

— Ażeby cię siarczyste! I to taka... taka... potrafi tak człowieka zirytować.

— Ależ bo ty, Jasiu, doprawdy, wiesz, że pewnych rzeczy nie trzeba poruszać, a zawsze z nią zaczynasz.

— Ale, moja kochana, cóż to? Słowa żartem nie można powiedzieć, czy co?

10.

Władek i Wanda, którzy bawili się dotąd spokojnie sami, na widok zbliżającej się cioci zaczynają uśmiechać się, niezbyt zachęcająco.

— O, patrz — odzywa się Władek do siostry: — Ciocia wyszła ze swej dziury. No, ciociu, jakże się spało?

Ciocia nie lubi być posądzoną o ospałość. Udaje, że mało sypia, choć temu zaprzeczają powieki obrzękłe i oczy zaczerwienione.

Mówi cicho do Władka:

— O, widzicie, jaki dowcipny! A chociażbym i spała, to tobie co do tego?

Władek wkłada prawą rękę do pantalonów, palce lewej zagłębia w nosie i spogląda na ciocię szyderczo.

— Mój Władeczku, nie dłub w nosie. Nie wiesz, że ci mama tego zabrania? Będziesz miał potem nie nos, tylko klukę.

— Czy taką, jak ma ciocia, co?

Wybucha śmiechem. Nagle przerywa. Biegnie do swej szafy, wydobywa skrzypki, sklecone przez wiej-

skiego chłopa cudownego i zaczyna na owym instrumencie najokropniej piszczeć, akompaniując sobie głosem zarzynanego prosięcia i uderzając dla taktu butem w otwarte drzwi szafy. Pudło szafowe stanowi rodzaj olbrzymiej deki i huczy od tych uderzeń imponująco wprawdzie, ale dokuczliwie.

Ciocia odzywa się z pokorą:

— Mój Władeczku, proszę cię, przestań... Kiedy doprawdy taki jesteś niesforny, jak...

— Jak co, cioteczko?

Postawiwszy to pytanie, hałasuje w dalszym ciągu. Nareszcie, widząc, że udręczony słuch cioci na mękę dłużej nie zdolny reagować, przestał. Torkwemadyczna myśl jego szuka nowej dla cioci tortury. Znalazł. Zaczyna ślizgać się po posadzce, czego matka zwykle mu zabrania, a czego ciocia nie znosi.

— O moj Boże! — mówi: — Z takiemi dziećmi to kara boska. Uciekać od was, gdzie pieprz rośnie.

— Ciociu, a gdzie to pieprz rośnie? — odzywa się Wanda, która dotąd bawiła się z kotem, tarzając się z nim po ziemi.

Rozdrażnienie cioci wzrasta.

— O, o, o! I tyś się odezwała?

— A cóż to? Zabroni mi ciocia mówić, czy co?

— O, ja wiem, że wam nikt nie zabroni. Wszystko wam wolno.

— No to czego ciocia chce?

— Cicho byłabyś, ty... Nie tarzaj się lepiej oto po ziemi, bo zniszczysz sukienkę.

— No to zniszczę, albo to ciocine?

— Milcz, ty smarkata. Nic nie umiesz, tylko odszczekiwać, jak rajfurka jaka.

— Dobrze! To ciocia nazywa mię rajfurką. Zaraz to powiem mamie. Mama tyle razy prosiła cioci, żeby się do nas nie wtrącała. A ciocia mię nazywa raj...! raj... raj... raj... raj... rajfurką.

Płacze, udając wielką boleść.

Z pobożnych ust cioci, niepomnej już na nic, zlatuje przekleństwo.

— Ażeby was dzieci wasze przeklinały, kiedy nie szanujecie starszych!

— Ciociu — woła nieulękły Władek: — A kiedy to ja będę miał dzieci?

Ciocia, nic już nie mówiąc, z zaciśniętemi ustami, składa swoje szycie.

Wanda wciąż płacze, z udaniem doskonałem.

— Do... o... brze... Ja to wszy...y...y...stko powiem ma...a...mie... co ciocia na nas naprze...e... kli... kli... kli... nała.

Ciocia, zawinąwszy swą robótkę, spiesznie wychodzi. Władek krzyczy za nią:

— Ciociuuu! A nożyczki ciocia zapomniała.

Ciocia wraca po swój skarb. Naturalnie Władek już go zdążył schować i zanosi się teraz od śmiechu, gdy ciocia przerzuca szufladki, zagląda pod stoły i stoliki, patrzy za kanapą i szafami. Nareszcie znajduje je w koszu od bielizny, chwyta skwapliwie i wychodzi.

Plac boju oczyszczony. Wróg ustąpił. Ofiara na stosie inkwizycyjnym spalona.

Dwie małe torkwemadki przeistaczają się w parę gołąbków. Wanda przestaje zmuszać się do płaczu i tarzać po podłodze. Władek przerywa ślizgawkę. Ta hałaśliwa konduita, używana jako rodzaj samoobrony od ciocinej opiekuńczości, staje się niepotrzebna. Dzieci

przeklęte przeistaczają się w dzieci grzeczne i bawią się spokojnie i cicho. Najwidoczniej kieruje niemi zasada: *strzeżcie się cnoty swoje okazywać tym, którzy w was się wad doszukują.*

11.

Po obiedzie panna Alina wybiera się do ogrodu. Kładzie kapelusz, przerobiony ze starej panamy brata i nazywany przez tegoż wroniem gniazdem; ujmuje kostur, bierze torbę drelichową w pasy i wyrusza.

Nad trawnikiem zwieszają się gałęzie drzew owocowych, a na gałęziach czerwienią się, złocą i bielą gruszki, jabłka, morele, wiśnie; czernią się wielkie fioletowe śliwy.

Panna Alina upodobawszy sobie jaki owoc, strąca go kosturem i chowa w torbę.

Chociaż owoc obrodził, pani dziedziczka nie lubi tego samowolnego owocobrania panny Aliny. Panna Alina o tem wie i zazwyczaj, spostrzegłszy z dala swą prześladowczynię, chowa się za krzaki.

Ale dziś ostrożność ta nie mogła być zachowaną, bo panna Alina zapomniała w domu okularów, a bez nich nie dojrzy.

Dziedziczka, jak pantera, skradając się za drzewami, naraz wyskakuje.

— No cóż? Jakże? Gruszeczki smaczne, co? A jabłuszka nie bardzo kwaśne?... Wstydziłabyś się pani! Stare to, zdychać temu pora, a jeszcze za łakotkami goni! Nie można doprawdy nic utrzymać na drzewie... Deserów się pani zachciewa! Powinnaś być kontenta, że masz dach nad głową... Ogrodnik, hej! a chodźcie-no tu...

Ogrodnik zbliżył się.

— Mój Walenty, proszę bardzo, żeby nikomu nie pozwalać robić szkody w ogrodzie. Słyszy Walenty?

— Słucham, pani dziedziczko.

Pani dziedziczka chwyta za torbę panny Aliny, wysypuje z niej owoce i kopie je nogą w stronę ogrodnika.

— Zabrać to.

Panna Alina, jak zawstydzony żak, stoi bezradna, drżąca i mówi nieśmiało:

— Myślałam... Jest przecież tyle tego.

— A to co? Liczyć mię pani będziesz? Ile jest, tyle jest — to moje i wszystkim do tego wara!

Odchodzi, szeleszcząc gniewnie suknią.

Panna Alina przywleka się do poblizkiej ławeczki, siada i płacze.

A ogród obojętny na to, czy ludzie piękni, czy brzydcy, czy źli, czy dobrzy z jego owoców będą korzystali, wszystkim zarówno okazuje swą płodność i wszystkim udziela jej przepychu.

Rumiane jabłuszka, jak buzie dziecięce nadstawiają się do całowania. Gruszki, jak panienki, wąziutkie w ramionach i szersze w biodrach, czekają rąk, któreby wstrząsnęły drzewem i z gałązek je strąciły, albo zerwały. Przez liście zielone spoglądają, podobne do czarnych oczów, śliwy, i każą się domyślać utajonych w gęstwinie kształtów dryad. Wiśnie, podobne do wielkich granatów, i czereśnie, jak duże paciorki z bursztynu, pozawieszane, gdyby na żerdziach odpustowych straganów, nęcą oczy i rozżarzają pragnienie.

Ale panny Aliny wzrok zaszedł płaczem i nie dostrzega już nic, oprócz własnego smutku i własnej

niedoli. Jest to jedyna jej własność. Jej własność na tym świecie. Ale może na tamtym pan Bóg inaczej rozdzieli dobro. Tylko trzeba się modlić i ufać. Tak, jutro z samiutkiego rana pójdzie sobie spacerkiem i pomodli się w kościółku. Może pan Jezus da bratu Jasiowi ducha w sercu, a zwłaszcza Jasiowej.

12.

Poranne słońce osusza z rosy dach wiejskiego kościółka, zapala krzyż na jego szczycie i złoci maleńkie szybki wysokich, omszałych okien.

Wewnątrz pusto i cicho.

W kolatorskiej ławce siedzi panna Alina i modli się, kiwając okularami nad książką.

Po wczorajszych nieszporach nie wywietrzał jeszcze odór ciepłego potu ludzkiego, zmieszany z zapachem wosku i kadzidła. Ponad nawą kołysze się, jak wahadło, zawieszona na długim sznurze lampa o niedużym płomyku, świecącym nakształt czujnego, nigdy nie usypiającego oczka. Drugie oczko --- oczko Opatrzności, spoziera z metopu wielkiego ołtarza wprost na przeciwległe piszczele organów.

Chociaż wzrok Opatrzności zdaje się panny Aliny nie dostrzegać, ale jej tu dobrze, bo ta woń świętobliwa każe jej zapominać o troskach.

Brząknął dzwonek od zakrystyi. Wychodzi organista z mszałem, za nim proboszcz, z oczyma spuszczonemi na zakwefiony kielich.

Rozlega się w ciszy stąpanie ich ciężkich, powolnych kroków. Ksiądz stawia kielich na środku mensy organista kładzie mszał po prawej stronie, schodzi pon-

tyfikalnie ku stopniom i klęka; za nim poważnie, choć mniej uroczyście, schodzi ksiądz i zaczynają introit.

Pannie Alinie modlitwa popłynęła żarliwiej. Widać to z jej częstego kiwania się i podnoszenia okularów na ołtarz.

Skrzypnęły ciężkie podwoje kościelne. Wszedł dziad, zastukał kluką, padł na dyle kolanami i zastygł.

Na boku jakaś babina przycupnęła z dzieckiem u piersi.

Introit skończone. Ksiądz, oparty przodem o ołtarz, przewraca z szelestem kartki mszału. Odwraca się, wypowiada głośno:

— *Dominus vobiscum!*

I znowu cichy szept.

Blask od świec pada na księżą tonsurę, i tworzy nad nią coś w kształcie aureoli. Podobna aureola błyszczy i nad łysiną organisty. Chwilami jest tak cicho, że słychać, jak trzaska masło w lampce, kawałek wosku odłupał się od świecy i spadł na ołtarz. Dziad kaszle, czasem chrząka i spluwa. Szepcząc pacierz, niektóre wyrazy mówi głośniej, inne ciszej.

— Ojcze nasz... w niebie... woła twoja święta... i odpuść nam... winy... winowajcom...

Z ciemnego kąta, przy konfesyonale, jak z pod ziemi, wydobywają się stłumione westchnienia czyjéś, i niby o chleb powszedni proszą i niby odpuszczenia win żebrzą.

Brzękła patena o kielich. Za chwilę, jednocześnie z uderzeniem dzwonka, biały, krągły chleb-opłatek wynurza się nad tonsurą księdza.

— Prosicie o mnie, o chleb — zdaje się mówić — i otom jest, chleb Chrystusowy, bielutki i doskonale okrągły i podobny słońcu.

Dziad wydaje przeciągłe:

— A a a a!

Rozpościera ręce i uderza czołem o ziemię.

Panna Alina żywiej kiwa się nad ławką i szepce:

— Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata...

Jest cicho. Na tle tej ciszy każdy dźwięk się uwyróżnia. Kij dziadowski osunął się i stuknął świętokradzko o podłogę; wpadł do kościoła przelotny wróbli świergot i utonął w ciszy, jak kamień w wodzie.

Ostatni raz brzęknął dzwonek i zamilkł.

Proboszcz wypłókuje kielich i wysącza go do kropli, trzymając pod brodą patenę. Skończył, ubrał kielich i znowu szeleści kartami mszału.

Z kruchty dolatuje jakieś bączenie monotonne. Niewiadomo, czy to bąk tam zabłąkał się i huczy pod sklepieniem, czy to żebrak, czy chłop jaki murkocze swój pacierz.

Rozległ się płacz dziecięcy. Matula wydobywa pierś i ucisza krzykliwą prośbę swego maleństwa o chleb powszedni, o płynny, jak krew, o biały, jak opłatek i o gorący, jak słońce, matczyny pokarm. Jak to słońce, którego jasny promień przebił okno kościelne, i wpadł do presbiteryum, mszy poświecić. Ale płomyki świec woskowych, trójkątne i żółte, zaczęły na siebie mrugać, jakby zmawiając się przeciw intruzowi, który tak niepobożnie tu strzela w kościele, jak w lesie, taki ma dziwnie świecki, nieduchowny kształt, olśniewający prostotą, i taki ma w sobie pył i kurz, zaraz widać, że wałęsał się gdzieś po drodze.

Tak źle przyjęty grot słońca przez kościół, czemprędzej opuścił ten modłów przybytek.

Ite missa est! Powstaje z ławki panna Alina.

Dźwignął się i dziad, pochrząkując. I kobieta z dzieckiem podniosła się i piersi w brudną koszulę otula.

Markotanie żebracze w kruchcie staje się głośniejsze, aby zwrócić uwagę wychodzącej z kościoła panny Aliny.

Msza skończona. Nad zgaszonemi świecami błądzą szare pasemka dymów, jak dusze nad swemi woskowemi ciałami.

13.

Po powrocie panny Aliny z kościoła, duch nie wstąpił ani w Jasia serce, ani w serce Jasiowej. Ale sama panna Alina uległa jakiejś zmianie wewnętrznej. Mniej teraz uczuwa lęku wobec swej dręczycielki, mniej drży o spóźnianie się na obiad i mniej łapczywą jest na kremik z konfiturami. Dziś był na obiad, nie tknęła go prawie, straciła apetyt i czuje, jakby ją coś od stołu z jadłem odciągało.

Pokaszlując, chodzi sobie po ogrodzie do późna, choć już czas herbaty i chociaż Ignac nawołuje:

— Proszę pani, proszę paniiiiii! bo już państwo pijom!

Nie. Panna Alina dziś wieczorem postanowiła herbaty nie pić. Niech się co chce dzieje. Raz trzeba się z tego jarzma wydobyć. Jaś powiada, że garbatego wyprostuje mogiła. A więc sprzykrzyło się jej być garbatą! Mogiła? Dobrze: niech ją mogiła prostuje.

Tak sobie rozważa panna Alina i chodzi po alejach ogrodowych, świecąc gorączkowo oczyma.

Już słońce po raz ostatni błysnęło szkarłatną smugą, uśmiechnęło się po raz ostatni i jak dziecko

usypiając zagasło i tylko rumieniec zorzany świadczy, że jest jeszcze blizko za widnokręgiem czuwania; już księżyc wolno posuwa się ku górze jak lampion kościelny; już strumień w gęstwinie wiklin i sitowia szemrze na tle ciszy wieczornej pacierz; już wyfrunęły ze strychów i z dziupli drzew nietoperze i krążą w kółko bezszelestnym lotem, już żaby pijane rozkoszą, zaczęły swój wieczorny pean; już wilgotne, ciepłe opary z łąk i z bagien przelazły przez parkan i rozwłóczą po ogrodzie zdradliwe swoje miazmatyczne wyziewy.

Panna Alina chodzi i rozmyśla. I czuje, że, podobne do tych mgieł bagiennych, ciepłych, ale chorobotwórczych, z pamięci jej wyłaniają się wspomnienia wszystkich jej poniżeń, wszystkich udręczeń poziomych, nizkich, lepkich, oślizgłych, powstałych z błota, podobnych do tej mgły wieczornej, wpełzającej, jak gorączka, do jej płuc kalekich, na zło nie upornych, upośledzonych.

— Proszę paniiiiii! Proszę paaaaani!

To Ignac chodzi po ogrodzie i woła.

Ale panna Alina się nie odezwie. Zaniepokoili się o nią. Nakoniec! przyjemnie jest być oczekiwaną i wołaną i poszukiwaną. Więc nareszcie jest ktoś potrzebujący jej, ktoś, komu ona, panna Alina, potrzebna jest, bodaj by tylko na to, aby zwykłemu trybowi życia w dworku wiejskim stało się zadość. Otóż nie! Niech sobie szukają. Dziś ona, panna Alina, zdecydowała się na wszystko, na najwyższe bohaterstwo: na niepicie wieczornej herbaty; na zgwałcenie rytuału; na herezyę; na bunt; na odszczepieństwo; na akt niepodległego sposobu myślenia — na niepicie wieczornej herbaty.

Z tem postanowieniem panna Alina siedzi cicho na swojej ławce i nie odzywa się Ignacowi, który wreszcie przestał nawoływać.

Zrobiła się noc. Panna Alina uczuwa żal i zaczyna sobie wyrzucać swój upór. Zrobiła oto braterstwu przykrość. Niepokoją się tam o nią, a ona tu sobie siedzi i nie wraca. Brat, w gruncie człowiek dobry, dał jej przytułek, opiekę, bez żadnej za to z jej strony rekompensaty. Bratowa? Cóż tu się dziwić, że jako dobra gospodyni, dba o porządek, o ład w domu, i że lubi pracę, i że przykro jej patrzeć na jej, panny Aliny, bezrobocie! Cóż ona tym dobrym ludziom daje za dach nad głową? Nic.

Pannie Alinie zrobiło się gorąco i w sumieniu i w piersiach i jakoś po całem ciele zaczyna doznawać gorączkowych dreszczy.

Wstaje i chwiejąc się i potrącając w ciemności o drzewa, idzie. Przyszła przed drzwi i zastaje je zamknięte na klucz.

Dreszcz nią wstrząsnął.

Jakto? Poszli spać i nie zatroszczyli się o nią. Jakto? Nie piła herbaty i fakt ten nie wstrząsnął całym domem? I dom ten, w najlepszym spokoju, pogasił sobie światła i śpi, głuchy i obojętny na jej, panny Aliny, bohaterstwo!

Panna Alina stuknęła parę razy w drzwi, ale nie dość mocno. Jakiś rozpaczliwy bezwład ją ogarnął. Ni to dreszcze, ni to płacz zaczął nią wstrząsać. Osunęła się na schodki przed gankiem i tak zastygła.

Nad jej głową cicho kołują nietoperze. Z głębin ogrodowych dolatuje pean żab, pijanych rozkoszą miłosną. Zapachy z klombów, jak widma, błąkają się

w nocy przed gankiem. Pies podwórzowy bezszelestnie zbliżył się do panny Aliny, obwąchał ją i niezawodnie bardzo się zdumiał.

— Eh, eh! — rzekł. — Cóż to za awantura znowu? Panna Alina nie piła herbaty i śpi na schodach? Eh, eh, eh! Trzeba się u nóg jej położyć i czuwać przy niej!

14.

Pokoik panny Aliny, a raczej izdebka tak mała, że jest w niej miejsce tylko na łóżko, na kosz do rzeczy, szafkę, stolik i dwa stołki. Do łóżka można się przedostać tylko bokiem, ocierając się o ścianę. Na ścianie kilka świętych obrazków, za którymi gnieżdżą się pluskwy.

Panna Alina leży chora, nieprzytomna. Oczy jej nieruchomo wlepione w sufit, jak w niebo. Ale sufit jest brudny i wcale nieba nie przypomina. W pokoiku dużo much, które chodzą sobie po twarzy chorej, jak po niezbyt czystej i nie bardzo białej ścianie.

W pokoiku niedawno była dziedziczka, postała, postała nad chorą, a teraz siedzi w swoim ślicznym, wytapetowanym i w filigranowe mebelki przybranym buduarku i myśli.

Stan panny Aliny zaniepokoił ją. Czy przypadkiem nie ona przyczyniła się do niego? — szeptało jej sumienie. Ale zaraz głos rozsądku dodawał: przecież nigdy ta kaleka nie była zdrową; musiał nastąpić zwrot ku gorszemu. A jeżeli umrze? No, więc cóż? Mało to ludzi umiera? Umrze, to umrze. Będzie trochę żalu... no, nie tak znowu dużo. Więcej może kłopotu. Będzie pogrzeb. Na to pęknie z kilkadziesiąt rubli. Nie można przecie siostry brata chować byle jak. Trudno, pokoik

po niej będzie wolny. Dziura, bo dziura, ale jak się odświeży, pomaluje, pozalepia szpary, oczyści — będzie spiżarka na konfitury... Ach, Boże! O czem to ja już tak zawczasu!... Trzeba koniecznie posłać po doktora!

Nazajutrz przyjechał wezwany doktór. Obejrzał pannę Alinę i opukał jej płuca, nie większe, jak się wyraził, od piąstki. Bratowa asystowała przy oględzinach. Doktór powiedział, że jest bardzo źle, ale, że może się i poprawić. Zapisał miksturę, rozejrzał się po ciupce i rzekł:

— Czyby nie można było, proszę pani dziedziczki, chorej gdzie indziej przenieść? Tu brudno.

— A gdzież, mój doktorku? Doktorek wie, że tu u nas ciasnota taka... mąż... dzieci.

— Mm-no, jak pani dziedziczka uważa, ale przynajmniej trzeba tu wywietrzyć... Mm-tak.

Wyszli.

— Teraz, doktorku, za jednym razem, obejrzy doktorek Jasia i dzieci.

— A tym cóż jest? Przecież ich widziałem zdrowych i całych?...

— Ale bo to, doktorku, strzeżonego pan Bóg strzeże. Obejrzeć nie zaszkodzi.

— Mm-no dobrze.

W płucach dziedzica, doktór nie znalazł nic, a raczej znalazł, że to nie są płuca, tylko dwa potężne miechy kowalskie. Dzieciom także nic nie brakło, wyjąwszy tego, że panicz za szybko rośnie, co pochodzi z nadmiernej pożywności pokarmów, a panienka zdradza skłonności do tycia, bo nie ma tej co braciszek energii w rośnięciu, a odżywczość strawy jest ta sama. Mm-tedy trzeba paniczowi ruchu mniej, a panience więcej.

WOLA

GODŁO. Gdzie się kończy praca twoja, duchu roślinny? Oto w zamyśleniu twojem nad doskonalszym organizmem.

Genesis z Ducha.

Był sobie pewien kraj, w którym — podobnie jak w Egipcie starożytnym krokodyla, ibisa i byka, tak tu — czczono Wolę.

Co dziewiąta w kraju tym majętność nazywała się albo Wolą, albo Wólką.

Jedną Wolę i Wólkę od drugiej Woli i Wólki odróżniano za pośrednictwem przydomków.

Dziedzic, podobający sobie w koniach, tytułował swoją włość Wolą-Końską.

Dziedzic, czujący miłość dla kóz, mianował swoją Wolę—Kozią.

Dziedzic, sympatyzujący z jagniętami, chrzcił swoją Wolę mianem — Jagnięcej.

Była Wola Dzika, przez uwielbienie dziedzica dla dzików.

Była Wola Kurza, przez przyjaźń dla kur; Wola Gęsia — przez żyłkę dla gęsi; była Wola Kogucia — przez pasyę do kogutów.

Była Wola Zamęcka, przez umiłowanie zamętu.

Była Wola Chlewska, przez skłonność do chlewów.

Była Wola Pańska, przez feblik pańskości.

Była Wola Szlachecka, przez popęd do szlachtowania i do bicia (*schlagen*).

Przekleństwem w tym kraju było, oprócz „psia krew", jeszcze: „żeby cię szlag trafił". Dlatego ludzie używający tego przekleństwa nazywali się szlagonami. I właśnie ich najczęściej trafiał szlag, czyli apopleksya, z nadmiaru krwi. Zapobiegawczym środkiem od apopleksyi było to, że sobie szlachta często puszczała krew — szlachtując się nawzajem, ale i to niewiele pomagało.

Był nadmiar krwi, tak jak był nadmiar Woli i Wólek.

Spojrzawszy na kraju tego mapę, upstrzoną przez niezliczone Wole i Wólki, nie można się było wstrzymać od okrzyku:

— Ależ to same Wole i same Wólki!

Istotnie. Był to kraj Samo-woli i Samo-wólki.

Była tu reprezentowana wola wszystkich dzikich stworzeń i wszystkich stworzeń swojskich.

Oprócz jednego stworzenia: człowieka.

W tym kraju samowoli zwierzęcej dzikiej i swojskiej, nie było woli jednego gatunku: nie było woli człowieczej.

Nie było woli ludzkiej; nie było Woli Ludu.

Lud był w tym kraju bez Woli, a nawet bez Wólki.

O gdybyż była choć jedna Wola Człowiecza, jedna Wola Ludzka, jedna Wola Ludu, by jedna!

Wola Bohaterska jedna! (na sto tysięcy Wól Bohackich, Bogackich)!

Wola Męzka jedna! (na sto tysięcy Wól Zamęckich)!

Wola Wolna jedna! (na sto tysięcy Wół Swawolnych)!

Wola Lwia choćby jedna! (na sto tysięcy Wół Chlewskich)!

Nie było w tym kraju nawet Woli kobiecej.

Była tylko Wola Babska, Wola Babińska, czyli Babin.

I jeszcze jedna była nad tym krajem Wół nieludzkich, nad tym krajem Samo-Wół zwierzęcych, Wola:

Była Wola Boska.

Co dziesiąty w tym kraju samo-wolnik miał na ustach wyrazy:

Niech się dzieje wola nieba:
Z nią się zawsze zgadzać trzeba!

Każdy ksiądz w tym kraju mszę odprawujący, w kościołczynie, w Woli Kościelnej, ku panom kolatorom obrócony szeptał po łacinie:

Fiat voluntas Tua,

dodając w myśli: panie dziedzicu!

Tak samo i każdy pachciarz, pacht w Koziej Wólce trzymający, szeptał, obrócony ku jasnemu panu:

— Ny, jak sobie jasny pan s a m woli.

Tak samo i każdy chłopek, w tej kościołczynie o dyl głową bijąc, modlił się:

Bądź wola Twoja, Panie!

A kiedy się pomodlił, szedł na pański wygon, i na wołki pańskie pokrzykując: a ć! a ć! k's o b i e! k's o b i e! — orał, orał i orał.

Na Wolę Pańską pracował chłop.

Wolę Pańską podtrzymywał lud.

I — samowolę.

* * *

Ten i ów z sąsiadów, patrząc na ten kraj, myślał sobie:

— Jeżeli w kraju tym panujące stanowisko zajmuje wola zwierząt dzikich i swojskich, to dlaczego niema być w tym kraju i woli mojej?

Pytanie to było tem naturalniejsze, że kraj ów, mając dość wól zwierzęcych i mszami zapewniwszy sobie wolę boską, ale nie posiadający żadnej woli człowieczej, żadnej woli ludzkiej, musiał ją sobie razem z kawą, z pieprzem, z szafranem, z winem, ze złotem, z żelazem, z łaciną, ze sztukami pięknemi, z naukami i z resztą potrzebnych do życia objektów — importować, sprowadzać od sąsiadów bliższych lub dalszych.

W samowolnym tym kraju musiał być importowany i rząd, ponieważ rząd wynikający z samowoli jest nie-rządem.

Musiał rządzić tym krajem ktoś obcy, któryś z sąsiadów.

Ale który?

Trudna była na to zgoda w kraju samowolnym. Jedni w o l e l i króla Ćwieczka, inni w o l e l i króla Gwoździka, a jeszcze innym podobał się król Copiszczałkipruł.

Wszyscy wołali nad Wolami i Wólkami swemi króla; wszystkim zdawał się potrzebny król.

Ale który?

Zgromadzenie obradujące nad tym przedmiotem zwało się: „sejm“, czyli „zejm“, a to dlatego, że na takim sejmie nie było żadnej zgody, a zgoda inaczej nazywa: rozejm.

Podczas takiego zejmu, brano się do szabel i szlachtowano.

Jedni ze szlachtujących się dziedziców Wól, mniej liczni, wołali, że potrzebny jest król! król! król!

Drudzy, liczniejsi, krzyczeli: ale który? ale który? ale który?

Nakoniec jeszcze trzecia grupa, znudzona zejmem, wrzeszczała: byle który! byle który! byle który!

W tych krzykach dopomagała im czeladź, drąc się w niebogłosy: byle który! byle który! byle który!

Tak się odbywał zejm.

Sąsiedzi, ele-ktory, słysząc te krzyki i mniemając, że to ich wołają, zbiegali się do stolicy kraju Wól, i tu na przedmieściu Woli, każdy stawiał swoją kandydaturę. Wskutek czego zawiązywała się nowa bójka, zwana elekcyą.

Jedni kipieli, jak *war;* drudzy wołali na tamtych: *sza!* — oczywiście na próżno; wreszcie elektorzy, potęgując zamęt, krzyczeli wzajem na siebie: *Va!*

Ztąd powstała nazwa stolicy: War-sza-*va!*

Jest to nazwa cechująca ten kraj: nazwa z własnymi przodkami (War i sza), ale z obcym pośladkiem (*Va!*)

Ostateczna Wola Warszawy dostawała się w posiadanie któregoś z elektorów, i ten — jak się wyrażano — o b i e r a n y był królem.

Pobici elektorzy wracali do domu, nowy król zaczynał rządzić, a chłopek sobie zawsze jednako i spokojnie na wołki pokrzykiwał: — Ać! ać! — k'sobie! k'sobie! k'sob!

I orał a orał.

* * *

Nowy król, przedewszystkiem, najpilniej, dla ułatwienia sobie rządów, zabierał się do kasowania nadmiaru Wól i Wólek.

Ale któż — niebaczny — odbiera Egipcyanowi krokodyla i wołu? psa i kozę? chlew i oborę? byka i kokosz? Apisa i Ibisa?

Zrywał się bunt, nazywany w takich razach kokoszą wojną, albo rokoszem.

Wszystkie Wole i Wólki kokosie powstawały, jak jeden mąż, i zaczynały gdakać:

— Na Wolę! Na Wolę! Niech rządzi nami inny król!

— Ale który?

— Byle który!

I znowu elektory: Brandeburski, Saski, Heski i reszta, ile ich tam jest, waliła na Wolę, brała się za kudły, i znów jeden opanowywał wolę kraju.

Do nowego buntu, do nowej wojny kokoszej.

Widząc sąsiedzi, że niema temu końca, wzięli i podzielili wolę tego kraju na tyle części ilu było elektorów. Każdy wziął swój kawałek i zaczął go spokojnie ogryzać.

Krzyknie elektor po swojemu na Wolę Kruka: — bij! (*hau!*)

Jest Krakau.

Zgrzytnie na Wolę Warsza—*au!* Jest Warschau.

Zawrzaśnie na Wolę Wratysława—*au!* Jest Breslau.

Inny sąsiad elektor, pobudowawszy sobie w psich, końskich, chlewskich Wolach i innych eleganckie *wille*, siedzi sobie w nich, pali fajkę, pije piwo i przyspiewuje sobie:

Der Wille und Macht und... Wacht am Rhein!
O Warschau du, magst ruhig sein!

Ale wola Warsza nie jest *ruhig*.

Warsz warczy na sąsiedzkie „au“ — bojkotem.

Wydziedziczony z Woli zwierzęcej, ma od dziś wolę nie kupowania towaru od sąsiada jednego: on będzie sprowadzał towar tylko od drugiego. A jeżeli drugi zakrzyknie nań „au!“, no to pójdzie po towar do trzeciego. A jeżeli trzeci sąsiad z Katowic zrobi mu brzydki Kato-*witz*, no to powróci po towar do pierwszego. A jeżeli znów ten, to... i tak dalej.

A jeżeli, zrozpaczony, zacznie się modlić do Boga, mówiąc:

Bądź Wola Twoja,

wtedy Bóg odpowie mu po sąsiedzku:

Magst ruhig sein! (Cicho bądź!)

* * *

Gdy się to dzieje w warstwach panowania, w dziedzinie pańskiej, chłopek tymczasem w nizinach orze, orze i orze.

— K'sobie! K'sob! — woła na pańskie wołki.

I orze a orze.

Skowronek w prostopadłej, jak pion wysokości nad nim cudnie ćwierka. Pachną odwalone skiby czarne świeżą glebą, jako chlebem razowym, którego pajda, świeżo odkrojona, dymi. Bieleją pędraki powyorywane w bruzdach.

— Ać! ać! — pokrzykuje chłop na wołki i orze a orze.

Po bruzdach wrony, jak skrzętne gospodynie chodzą i wydziobują białe pędractwo. Wtem jastrząb, jak kula, spadł w bruzdę prościutko na upatrzonego czerwia, migiem odbił się od ziemi i pomknął lotem strzały do lasu.

Orze chłopek, a wszystką myśl swoją chłopską, wszystek duch swój robotny k' sobie obraca.

I widzi myślą k'sobie zwróconą, że skoro tylko się zagapi, a puści z rąk pług samopas, wnet wola wołków pańskich tak mu zbakieruje skibę, jakby chciała przeorać zagon w poprzek, zaprzeczyć jego własnemu rozumowi i do psa mu robotę styrać.

Więc musi on, chłopek, baczyć na pług i ani chwili jednej nie rozdziawiać na próżno gęby. Wolę swoją chłopską wolno mu na pługu jego wywierać. Tak nim tedy prowadzi, aby nie pokrzywić bruzdy i nie powyginać. Boć najlepsza i dla pola i dla wszelakiej rzeczy prosta droga — prostość.

Życie pańskie idzie i tak i owak, błąka się, jak koń na pastwisku, wałęsa się, jak krzywa bruzda: raz zarwie za głęboko, drugi raz ześlizgnie się po wierzchu, źle płużycą trzymana; czasem worze się w szkodę, czasem zdrady się ima — rozpusty.

Ale on, chłopek, włożony do sochy od maleńka, musi żyć najprościej, najrzetelniej, najsumienniej. Jego żywot ma być jak ta sprawiedliwa orka, po której plon najobficiej wyrośnie. Przecie z najlepszych ziaren siejba na nic, jeżeli zagon źle orany: bo jedne padną w głębiznę i zgłuchną, a drugie na wierzchu łysin, nie skrajanych lemieszem, nie przyjmą się i zczezną.

— K'sobie! K'sob! K'sob! — pokrzykuje chłop a orze.

A pokrzykując tak na woły pańskie, sam się duchem k'sobie zwraca i wczuwa, aby żyć po sprawiedliwości.

I oto w taki sposób, bruzda prosta, kierunek prosty, najkrócej i najrzetelniej do zboża prowadzący, kierunek z b o ż n y staje się duszą tego chłopka, tego — człowieka.

Chłop, dla większej pogardy, był zwany przez pana dziedzica Końskiej Woli — człowiekiem. I chłop człowiekiem stał się.

Pan mimo swej woli, a raczej w swojej własnej Woli Końskiej, czy w Woli Koziej, czy w Woli Chlewskiej, czy w Woli Zamęckiej, stworzył — człowieka.

Nad Końsko-Kozio-Chlewsko-Zamęcką Wolą pana zapanowała Wola Człowiecza.

Wola Ludu.

Przez Prostość i przez Prostotę.

Przez Jasność — przez Słońce.

Przez Orkę.

Chłop, który orze bruzdę sprawiedliwą, to orzeł, który spadając na zdobycz, orze przestrzeń po linii prostej. Bo gdyby krzywił, to by mu zdobycz umkła.

Kierunek kuli — linia prosta, jeżeli krótkiej, jeżeli długiej — parabola, rodzaj linii prostej, tak, jak jest nią i koło.

Promień słoneczny świeci po linii prostej.

I myśl ta najdzielniejsza, która najprościej uderza.

Tak samo jak uczucie, to najpotężniejsze, które w prostocie swojej — umiłowało.

Miłość największa, to myśl najprostsza.

Myśl, najprościej, najjaśniej promieniejąca, to — Miłość.

Miłość stała się duszą chłopa, duszą człowieka, zbożnie kierującego pługiem.

Wolę i Wólkę zwierzęcą zastąpiła Miłość Człowiecza.

* * *

Oto już i południe.

— Ać prrr!... Ać prrr!... Sta! Sta! — woła chłop.

Staje pług. Dym się podnosi z czarnej ziemi. Skończona orka.

W niebie skowronek upojony dniem słonecznym, prostopadle, prościutko, jak pion, nad głową rataja dzwoni, jak gdyby wfrunął na jakąś wysoką, niewidzialną wieżę kościelną i wydzwaniał ztamtąd południowy Anioł Pański.

KAPITALISTA.

Kapitał i Praca.
Materya i Siła.
Ciało i Duch.
Zło i Dobro.
Ciemność i Światło.
Aryman i Ormuzd.
Piekło i Niebo.
Choroba i Zdrowie.
Śmierć i Życie.

I.

Było to w okresie powstawania mitów.

Bóg pogański, Jowisz, zawołał również poganina, Merkurego, i mówi mu:

— Leć no, Merkury, na ziemię i przynieś mi tu gliny, guana, cegły w proszku i cokolwiek szczeciny albo sierści.

— Na co to?

— To już moja rzecz.

— Ale bo jest glina różna: bielsza, żółtsza, trochę z piaskiem, zduńska... Tak samo i szczeć, jak do szczeci: bywa szczeć świńska, leśna, barwierska czyli oset folarski. Cegła też, jak która...

— Weźmiesz gliny pulchnej, tłustawej. Szczeci najlepszej — z Prus. Cegły — z warszawskiej kamienicy tandetnej, bo to cegła krucha, zdatna na proszek. Po guano musisz biedz do Peru. Chcę, uważasz, z tych materyałów stworzyć coś.

— A to będzie coś kapitalnego.

— Nie mylisz się. Będzie to rzecz kapitalna: będzie to Kapitalista.

— Kapitalista? I cóż nam tu po nim, na Olimpie?

— Nie nudź. W każdem stworzeniu boskiem, czyli mojem, jest jakiś pożytek. Ruszaj!

— Lecę.

I Merkury poleciał.

Poleciał do Peru po guano; do Prus — po szczecinę; po cegłę — do warszawskiej kamienicy tandetnej; po glinę do Saksonii.

Z tym materyałem powrócił.

Jowisz umiesił gliny wraz z guanem, wsypał to do sproszkowanej cegły i dorzucił szczeciny. Następnie zwrócił się w kierunku Prus, zaczerpnął stamtąd powietrza i tchnął je w on materyał.

Natychmiast zjawiła się postać samozadowolona, arogancka, mrużąca oczy z wysoka, postać o trzech, jak kamieniczne gzemsy, podgardlach; postać z dwiema fałdami na karku; postać z kilkopiętrowym brzuchem i z krogulczym, jak łuk gotycki, nosem.

Jowisz spojrzał na to jestestwo i pomyślał sobie: I to ja, bóg pogański, stworzyłem ten gotyk? No, ale nic, zobaczymy.

Pomyślawszy to, zwrócił się do nowotworu i mówi:

— No, jakże ci się przedstawia mój Olimp?

Kapitalista rozejrzał się w koło i powiada:

— Phe! Sztuka dla sztuki. Rozrzutność. Zbytnie rozszerzanie horyzontów. Lazuru nadmiar, blasku; za dużo obłoków niepotrzebnie się bez pożytku, widzę, próżniaczo po niebie włóczących. Przestrzeń nieuregulowana, pusta. Nic solidnego, nic o coby można zębami zahaczyć. Żadnej realności. Nie widzę kominów

fabrycznych, posesyi dochodowych, kanałów odchodowych. Niema banków, sądów, więzień, koszar, biur rejentalnych, kafeszantanów, kantorów stręczeń... Kultury tu niema, panie.

Jowisz słuchał, słuchał, ale nie mógł wytrzymać dłużej, gdyż, jako bóg pogański, nie należał do cierpliwych.

— Won stąd! — krzyknął na kapitalistę: — Idź sobie precz, na ziemię, i bądź tam trägerem kultury — kulturträgerem.

II.

Kapitalista, spadając na ziemię, wydobył, niewiadomo skąd, wielki arkusz policy ubezpieczeń od upadków niebieskich, rozpostarł go, niby spadochron, i spłynął sobie na ziemię zdrowo i cało.

Niezwłocznie po tem z nieba zstąpieniu, nie namyślając się długo, instynktem jakimś wiedziony, zaczął działać.

Przedewszystkiem ulepił sobie z gliny skarbonkę i zaczął do niej wrzucać znalezione przedmioty świecące, jako to: muszelki, kamyczki drogie i inne błyskotki. Przedmiotów tych, po włożeniu ich do skarbonki, przez maleńką w jej boku szparkę oglądać nie mógł, i zresztą nie miał na to czasu, zajęty ciągłem, dalszem zbieraniem, — ale cieszył się na myśl, że już świat z tych rzeczy cennych on, kapitalista, ogołocił i zrobił o te świecidełka uboższym. Świat, skoro się o jego skarbach dowie, będzie się gryzł, aż pęknie z zazdrości. Bo cenność rzeczy dla kapitalisty polega na tem, że ktoś tej rzeczy potrzebuje, pożąda jej, a on

ją ma, posiada i nikomu nie da. Niech sobie ludzie pękają z żądzy i z zazdrości. Jeżeli wszyscy pękną, wtedy na świecie zostanie on sam, kapitalista. I zostawszy sam, zawiesi pracę kapitalizowania i będzie sobie żył z renty.

Renta, to kapitalistyczny dogmat. Żyć z renty, to znaczy żyć z dogmatu, żyć teologicznie, być wyższym od samego boga pogańskiego, Jowisza.

Po pewnym czasie, który nazwał epoką skarbonkowo-pierwotnie-muszelkową, Kapitalista złożył skarbonkę z kamyczkami drogimi i z muszelkami w muzeum — *Capitalium*, poczem wstąpił w epokę żelazną. Mianowicie, kupił sobie kasę żelazną, wytrwałą na ogień i zabezpieczającą mienie od niepotrzebnej, natarczywej ciekawości niemajętnych ziemian, i zaczął chować tam złote krążki i kosztowne papierki procentowe.*)

Chował, chował i czekał, rychło-li świat pocznie z zazdrości pękać.

I z przyjemnością widział, że w świecie robi się wielka, coraz większa rysa, podobna do szpary w skarbonce. Marzyło mu się w snach, że oto już on, spracowany, a raczej korzystający z prac cudzych, zasłużony, czcigodny kapitalista, w tę szparę światową jest złożony, jak w mauzoleum i pochowany; że szpara się zamyka, a z nią, że się zamyka na czysto i światowy bilans, bez salda. Świat pożądał tyleż właśnie, ile posiadał on, kapitalista. Świat cały był „winien", a on, kapitalista, jest „ma"; świat cały jest „mniej",

*) Rzeczom tym, ponieważ się za nie pije i je, dał nazwę pijejeniądz, czyli pieniądz.

a on, kapitalista, jest „więcej"; świat cały jest „minus", a on, kapitalista — „plus". Te wielkości nawzajem się znoszą. Zniosły się, pozostaje zero. Koniec wszystkiemu. *Finis orbis terrarum.*

Tak marzył kapitalista. I marząc tak, rozwijał systematycznie, historycznie i dogmatycznie swoją działalność. Dogmat — praca na kapitał. Nie kapitał dla pracy, tylko właśnie praca na kapitał — to dogmat. System do wprowadzania w czyn tego dogmatu: wytwarzanie i rozszerzanie w świecie szpar, pęknięć, rozłupań i rozterek; hodowla żądz zazdrości, nienawiści, bójek i kafeszantanizmu. Dogmatem również jest kapitalisty to, że oprócz kapitału niema żadnych innych Jowiszów. Był niegdyś Jowisz w epoce diluwialnej, ale dziś jedynie włada światem on, kapitalista. Wolno mu przecież świat ten rozłupać, rozszczepić, rozdwoić, na miazgę zetrzeć, w proch obrócić.

Niechno ten Jowisz, jeżeli gdzieś tam w muzealnym pyle przetrwał do dziś, spojrzy w historyę, a ujrzy, co on, kapitalista, ze światem wyprawia.

Kto świat wziął w posiadanie hipoteczne? On, kapitalista, czy Jowisz? Jowisz patrzy na świat z Olimpu i widzi go tylko w połowie, jednostronnie. A on, kapitalista, jest na tyle dowcipny, że świat na dwie półkule rozszczepił, jak pomarańczę, i wysysa — posiada. Władcą tedy jest on, kapitalista. Świat go się boi, zazdrości mu, nienawidzi go, przeklina. Jakiż większy może być dowód władztwa?

III.

Takiemi rozmyślaniami kapitalista wbity w ambit, wyrzekł się pogaństwa, czyli wiary w swego stworzy-

ciela — Jowisza, przyjął chrystyanizm i postanowił wstąpić w związek matrymonialny, również z chrześcijanką.

Żonę taką znalazł bez trudności, ponieważ chrześcijanki lubią mieć za mężów nawróconych pogan, o ile ciż są kapitalistami.

Ślub kapitalista miał najdroższy w taksie. Uczta weselna była tak słona, że nikt na niej nie mógł być kwaśny. Kiedy przyszło do wznoszenia zdrów, powstał ojciec panny młodej i rzekł:

— Najdroższy zięciu, najdroższa córko i goście najdrożsi. Żywot mój leży przed wami uregulowany i prosty, jak kanał. Cegiełka po cegiełce budowałem go długo, przy pomocy swoich dłużników, których sam powtrącałem w długi. Przewodniem hasłem była praca, opromieniona miłością... dochodów. Przetom się dohodował szczęścia, które może sobie kpić z wszelkiej drożyzny. Tak, moje dzieci kochane, wystarczało, abym się do kogokolwiek zwrócił i szepnął mu: „panie, ja jestem bogaty", albo: „proszę pani, ja jestem bogaty", żeby w tym samym momencie ten ktoś, ten pan, lub ta pani stawała się moją najpokorniejszą niewolnicą, moją *najdroższą,* uważacie. Tak, moje dzieci, rośnijcie, mnóżcie się i dodawajcie sobie, nic sobie nie odejmując i z nikim się nie dzieląc. Niech koleje waszego życia udzielą wam jak najwięcej udziałów procentowych. Niech droga wasza będzie pełna rzeczy drogich, najdroższych, najkapitalniejszych i najkapitalistyczniejszych. Wiwat!

Tu nowożeniec, kapitalista, któremu panna młoda trzymała nóżkę na lakierku bardzo drogim, nie przerywając tego drogocennego dotknięcia, uniósł na jednej nodze pół swego tułowia i rzekł:

— Najdroższy teściu, żono najdroższa i najcenniejsi moi goście. Niech mi będzie wolno — a cóż mi nie jest wolno? — podnieść ten kielich i wypróżnić jego drogą zawartość — płaconą po piętnaście rubli butelka — za zdrowie pracy! Niech żyje praca cudza... chciałem powiedzieć — codzienna. Niech żyje obowiązek cudzy... chciałem powiedzieć — cywilny, obywatelski, no i obowiązek wojskowy, polegający na obronie prawa, znaglającego do pracy cudzej... przepraszam — codziennej.

W tem miejscu kapitalista, czując wzmagający się prąd w swoim lakierku, wpadł w jakąś ekstazę weselną i deklamował z rosnącą werwą:

— Tak, panowie! Praca! Czyn! Czyn! Czyn! A czyn to znaczy — akcya. Rozumiecie państwo — akcya, czyli udział. Posiadać udział procentowy, to znaczy działać, mieć udział w tem życiu, mieć dział, należeć do podziału władzy nad światem, władać. Panowie! Niech żyje taka działalność. Hej, młodzi przyjaciele, hej ramię do ramienia, opaszmy ziemskie koło akcyjnemi przedsiębiorstwami kolejowemi, perkalikowemi, bawełnianemi i innemi. Wiwat! *Vive la bourse! La bourse* panowie! *La bourse* — worek i *labor* — praca! Wiwat!

IV.

Żona przyniosła kapitaliście, w dodatku do swej osoby, posag, czyli wiano.

Gdyby kapitalista ożenił się był wówczas, kiedy jeszcze należał przekonaniami do kultury pogańskiej, byłby musiał za żonę odpowiednie *quantum* muszelek

świecących „zapłacić"; ale kapitalista zchrystyanizowany otrzymuje za żoną pewną dopłatę sam.

Skąd pochodzi ten zwyczaj wyposażania chrześcijanek?

Posag jest jakimś do panny dodatkiem, jakby nagrodą za to, że ktoś się wogóle z tą panną ożenić zdecydował. Jeżeli zważymy, że im panna bogatsza, tem dostaje większy posag, dojść musimy do wniosku, że pojąć bogatą pannę za żonę, jest uczynkiem, wymagającym wielkiego bohaterstwa, jest rzeczą tak ryzykowną, że człowiekowi, który się na ten czyn zdecyduje, należy płacić grubo.

Tak też się to zazwyczaj rozumie.

Chrześcijanin, czyli mąż o kulturze stosunkowo nowszej, żeniąc się z panną o kulturze stosunkowo starszej, do poganizmu bardziej zbliżonej, pobiera za to sowitą nagrodę w postaci wiana.

Przedewszystkiem to wiano składa się z *gotówki*.

Gotówka.

Jeżeli *got* pisać przez wielkie *G* i przez dwa *t*, otrzymamy nazwę *Gott* — Bóg. Jakoż dla niektórych narodów (powiedzmy dla Gotów, dzieląc ich na Ost-gotów i West-gotów) gotówka zastępuje miejsce Boga. Istotę gotyku stanowi zatem niezmierne zbliżenie Boga i gotówki, zbliżenie takie, że stanowi zupełną niemal identyfikacyę.

Był czas, na długo przed erą chrześcijańską, że te dwa tak sprzeczne zdawałoby się pojęcia, jak boskość i gotowizna, osiągnęły swój syntetyczny wyraz w postaci *złotego cielca*, któremu oddawano cześć bałwochwalczą. Widocznie, jako pamiątka po tym kulcie,

przechował się u nas wyraz „gotówka“, albo inaczej „*gotyk*“.

Gotówka, w języku kapitalistycznym, czyli w gotyku, znaczy więc cześć dla Boga. Albo na odwrót, po gotycku mówiąc, Bóg (*der Gott*) znaczy miłość gotówki.

Pojmujemy teraz dostatecznie, że kapitalista, w imię swoich właśnie kapitalistycznych zapatrywań, nie może nie przyjąć chrystyanizmu, osobliwie gotyckiego.

Co prawda, kapitaliście nietrudno byłoby zdecydować się na przyjęcie chrystyanizmu rzymskiego. W języku rzymskim gotówka — *pecunia* wyprowadza się od *pecus* — bydło.

Utrzymują historycy, że to pochodzi stąd, jakoby w starożytności walorem najwyższym, odpowiadającym wartości dzisiejszego pieniądza, było, że się tak wyrazimy, bydlactwo. Kto rozporządzał największą ilością bydlęctwa, ten uważany był za człowieka, posiadającego największy w świecie walor, największe znaczenie. Później dopiero, mianowicie pod wpływem greckim, człowiek znaczył coś ten naprawdę, który miał „talenty“. Nie jeden talent, broń Boże, tylko dużo, dużo talentów. Grek, albo późniejszy Greko-Rzymianin ten był coś wart, któremu Bóg dał dużo talentów takich, których jeden, o ile był srebrny, był wart około rubli dwustu, a o ile był złoty — około rubli dwuch tysięcy.

Za naszych dopiero czasów, ludzie doszli do tego — upadku powiedzielibyśmy, należąc do kapitalistów; do tego szczytu, powiedzielibyśmy, do kapitalistów nie należąc — powiedzmy więc dla nieobrażania ni tych, ni tamtych, do tego stanu, że nadaje człowiekowi

znaczenie *talent* jeden. Dziś dopiero, po tak długich wiekach, doszliśmy do tego, iż na określenie czyjejś wartości używamy zwrotu: „on ma *talent*“, albo: „to jest człowiek z *talentem!*“

Są jeszcze i do dziś ludzie, mówiący: „o, to jest człowiek z gotówką!“ Ale ten, kto tak mówi, popełnia dwuznaczność. Mówiąc o kimś, że jest z gotówką, nie daje nam ściśle wiedzieć, czy to człowiek pobożny, czy bogaty. To tylko możemy napewno wiedzieć, że człowiek z gotówką jest człowiekiem gotyckim.

W Polsce był używany grosz (*grossus*), talar (*taler*) — oba wyrazy ost-gotyckie; prócz tego był w użyciu dukat — wyraz west-gotycki, pochodzący stąd, iż dukatami rozporządzali głównie „duki“, tak jak teraz się mówi luidor (*Louis d'or*).

Polska nazwa „pieniądz“ oznacza coś, jakąś substancyę, czy jakiś wogóle walor, za który (patrz wyżej), można pić i jeść. Kto więcej pije i je, ten po polsku jest bogatszy; albo na odwrót: kto u nas bogatszy, ten więcej pije i je. Co kto woli.

Inny wyraz polski na oznaczenie tegoż objektu jest: „złoty polski“.

Właściwie należałoby mówić gramatyczniej: zło, ty polskie! Albo jeszcze lepiej: ty, zło polskie! Albo jeszcze lepiej i już najlepiej: o ty, polskie zło!

Albo jeszcze, i już naj-naj-najlepiej: Gotówko! O ty gotyckie dla Polski zło!

Takiej to gotówki dostała żona kapitalisty w posagu dużo, dużo. Dużo więcej, niż parę set złotych talentów (patrz wyżej).

Prócz tego dostała posag pani kapitaliścina w naturze.

Klejnotów świecących piękniej, niż perłowa macica, untów sto, łutów pięć i karatów dwadzieścia trzy i pół.

Pierścieni tyle, iż na każdy palec, u nóg i u rąk icząc palcy po pięć (niektórzy kapitaliści z nadmiaru ciała pozwalają sobie — albo to im nie wolno? — po palcy sześć i więcej) — czyli na palcy dwadzieścia ych pierścieni nasadziwszy do pełna, jeszczeby zostało ch tyle, iż możnaby je mierzyć garncami.

Dalej: zegarków, broszek, szpilek, łańcuszków, pinek — korcy dwa.

Sreber stołowych na tyle osób, ażeby starczyło, dy wypadnie jeść i pić (albo pić i jeść) państwu młodym i ich krewnym i znajomym, aż do dziesiątego pokolenia włącznie.

Obrusów, serwet, prześcieradeł, powłoczek, poduzek, kołder, materaców, majtek, koszul, skarpetek, hustek, kołnierzyków, mankietów, spódnic, kalesonów, aftaników, matinek, szlafroków, pantofli, pantofelków innych garderobianych przynależytości tyle, żeby tarczyło dla całego kapitalistycznego potomstwa, gdyby oż, ziszczając błogosławieństwo Boga (Gott), rozmnoyło się na świecie, jak piasek morski.

O porcelanie stołowej, o serwisach dziennych nocnych, o różnych umywalniach i gotowalniach znowu got!), o przeróżnych naczyniach pokojowych kuchennych, o różnych far-furkach i raj-furkach i innych furkach, furach, powozach, karetach, karocach, kwipażach, cugach, furmanach, forysiach, stangretach, olblutach, drygantach, amantach i innych kapitalistycznych akcesoryach, gdyby trzeba było mówić, mu-ielibyśmy dołączyć regestru ich kilka tomów. Ograniczymy się więc tylko na jednej z gotowalnianych rze-

czy, mianowicie na miednicy, będącej symbolem kapitalistycznej czystości, czyli ochędóstwa.

Ulana z blachy, ulepiona z fajansu lub z porcelany, miednica ma półkolistą wypukłość koloru białego z żyłkami lila, bądź różowego albo złotawego, z leciuchnym tam i sam rzucikiem karminowym. Wręby miednicy są rozlewne i wygięte, jak biały karczek nadstawiony do całowania. Jakież inne właściwości miednicy? Jest płytka, daleko płytsza, niż ocean. Dno jej płaskie, równe, daleko bardziej płaskie i równiejsze, niż dno oceanu.

Miednica z otwartemi wrębami przyjmuje w siebie wszelki brud rąk kapitalisty.

Cnotą miednicy jest jej biała porcelanowość. Ale cnota to krucha i łatwo podlegająca stłuczeniu. Niektóre miednicy są robione z blachy i wtedy cnota miednic takich daleko trwalsza. W obcowaniu sypialnianem jednakże taka blaszana miednica nie daje tyle rozkoszy co porcelanowa.

Mówiąc o miednicy, trzeba pojmować to naczynie wraz z jego nieodzownym garniturem, czyli dzbankiem, mydelniczką i czemś tam jeszcze.

Mamyż mówić o miedniczanej duszy?

Czy miednica ma duszę?

Jeżelibyśmy szli w tej mierze za zdaniem Arystotelesa, musielibyśmy stanowczo temu zaprzeczyć. Inni pisarze starożytni, jak naprzykład Lukrecyusz, gotowi przyznać miednicy duszę na tej zasadzie, że miednicy nie można wyłączyć z ogólnego duchowego obszaru, nazwanego *anima rerum*. O ile rzecz każda ma duszę, o tyle ją ma i miednica. O ile w rzeczach duszy brak, o tyleż niema jej i w miednicy.

Podług najnowszych zapatrywań, duchowość miednicy, jeżeli już koniecznie chcemy o tem mówić — stanowią objawy czysto sensualistyczne, zmysłowe. Miednica na przykład *lubi* wodę letnią raczej, niż zbyt zimną albo zbyt gorącą, ponieważ od zbyt zimnej i od zbyt gorącej wody jej glazura może popękać. Miednica, w *obawie* stłuczenia, *lubi* trzymać się miejsc przyziemnych, niż wysoko nad poziomem pokoju sypialnego wzniesionych, a wyżyn, naprzykład wierzchu pieca lub szafy, miednica nie *lubi* i dlatego na tych wysokościach nigdy miednicy nie widać, chyba w sklepie. Postawiona na kant, wiruje z upodobaniem i tańczy, ale łatwo może wtedy upaść i stłuc się; dlatego należy tych kołowań z miednicą nie nadużywać, osobliwie gdy jest nalana. Pomimo nizkiego poziomu, na którym się trzyma, miednica zejść może jeszcze niżej, mianowicie wówczas, gdy kapitalista myje sobie w niej nogi, gdy używa tak zwanej *bain de pieds*. Wtedy miednica jest literalnie nogami kapitalisty kopaną.

Są też miednice *ambitne*. Taka miednica wyprawia fochy, odwraca się do góry dnem i nie pozwala napełnić się wodą. Należy wtedy taką miednicę *kapryśną* błagać i zaklinać na Sèvre, na Nieborów lub na Saksonię, ażeby się odwróciła dnem na spód. Bywa i tak, że zbytnio *rozgrymaszona*, za nic nie chce się odwrócić. Pozycya taka do góry dnem bardzo się jej podoba, gdyż wówczas jej się zdaje, że jest kopułą kościelną. *Bawi* ją to czas jakiś, aż w końcu, znudzi się jej przeczyć własnemu przeznaczeniu miednicy, i wówczas odchyla wklęsłą stronę swoich wypukłości rękom najbrudniejszym, czyli ochędóstwa potrzebującym najbardziej.

A jeżeli miednica się stłucze? Co robi wówczas kapitalista? Jak sobie w tym wypadku poczyna? A tak, że kupuje sobie miednicę nową.

V.

Kapitaliście nieznany jest ten stan, który się nazywa brakiem. On ma wszystkiego nadmiar, wszystkiego ma zapas. Kapitalista ma tak dalece wszystkiego zapas, że można o nim słusznie powiedzieć, że się zapasł. Bo kapitalista, po pewnym czasie kapitalizowania, czyli gromadzenia kapitału na zapas w kasie ogniotrwałej, sam się do tej kasy, do jej grubej pękatości upodabnia.

Kapitalista to akumulator pieniędzy, do którego skierowują się ludzkie pożądania, a który je znowu, te pożądania, skierowywa do pracy na siebie, do gromadzenia coraz większych zapasów, do coraz większego siebie zapasania. A zapasanie to prowadzi czasem do jaknajwiększego rozpasania.

— *Mais que voulez vous? c'est la vie.*

— *Oui, c'est la vie.* Tak, to jest życie, ale życie oparte na lęku, na strachu, na obawie, iż kiedyś tam może jemu, kapitaliście, zabraknąć.

Podstawą życia kapitalistycznego jest strach. Tak, to jest życie, ale życie — straszne.

Kapitalista, przed nasyceniem swej kasy, ogniotrwałej, jest żądny, a po jej nasyceniu jest po-rządny.

Kapitalista, przed napełnieniem swej kasy, wyznaje teoryę „brania", a po napełnieniu kasy, wszystkiego wszystkim zabrania, wszystkiego broni.

Kapitalista wyznaje hasło: *toujours prendre, jamais rendre, encore prêtendre.*

Kapitalista ma ogromną skłonność do prawa i z prawem ma styczność: jest prawy, poprawny, wprawny (w operowaniu giełdowem), zaprawny (do brania), odprawiający nabożeństwo złotemu cielcowi, lubiący bogate wyprawy ślubne i wyprawy po złote runo z owiec, które się nazywają praconośnemi praconosami (merynosami?).

I rzecz ciekawa i szczególna, że te owce, te woły robocze, które pracę kapitalistom dają, nie mają prawa nosić nazwy pracodawców; że tytuł ten pracodawcy uzurpował sobie kapitalista. Pracodawca, to ten, co pracę daje, więc zdawałoby się — pracownik, robotnik, dający pracę swoją kapitaliście. Otóż, widać dla zapobieżenia temu, aby nie stało się zbyt widocznem, skąd praca bierze początek i gdzie jest źródło bogactwa narodowego, kapitalista tytuł pracodawcy zabrał dla siebie, pracodawcą nazwał się sam, że niby pracę daje on. Tymczasem kapitalista pracę bierze, a nie daje, on z pracy korzysta, w celu gromadzenia coraz to większego kapitału i umieszczania go w ogniotrwałem więzieniu, ażeby się stawał przez to niedostępniejszym dla pracujących i był dla nich bodźcem do coraz większych, pracowitszych wysiłków, a dla kapitalisty — żeby był coraz większym zapasem, który posiadłszy, możnaby się następnie jak najbardziej rozpasać.

W ekonomiach politycznych stale kapitalista nosi tytuł pracodawcy, a robotnik — pracobiorcy. Kiedy tymczasem rzecz należałoby przemianować naodwrót: kapitalista winien się nazywać pracobiorcą, a robotnik — pracodawcą. A ponieważ bogatym jest ten co daje, a nie ten co bierze, więcby się stało jasnem, że właściwie bogactwo narodu jest nie w posiadaniu i gro-

madzeniu kapitalistycznem, jeno w pracy. Praca zaś nagromadzona staje się bogactwem narodu wówczas, jeżeli nie tężeje, nie kawali się w szychty i pokłady w kasach ogniotrwałych, tylko rozpływa się, jak krew po całym organiźmie, jeżeli się właśnie spala, jeżeli ogień ludzkiego żywota syci, jeżeli sytym jest nie sam jeden kapitalista, ale cały naród.

VI.

Główna nauka, główna wiedza kapitalisty polega na tem, jak *stopę procentową* mocno stawiać i jak ją, stopę procentową, podnosić. Mówi się u nas, że ktoś stoi na dobrej stopie, to znaczy, na stopie procentowej. Gdzie indziej za dobry stan kraju uważa się małość stopy procentowej, ponieważ wogóle małość stopy jest czemś pięknem. U nas zaś stopa jest wielka, wielka mastodontycznie. Bywają przykłady, że za sto pobiera się procentu trzysta i więcej. Jest to stopa jakaś przedpotopowo, ichtyosaurycznie pterodaktylokrokodylicznie potworna. Zdawałoby się, że na tak wielkiej stopie procentowej kraj stojąc, powinien stać dobrze. A tymczasem bogactwo jest wszędzie, tylko nie u nas. Skąd ten dziwny fenomen? A w kraju, gdzie stopa procentowa jest najmniejsza, jest najbogaciej. Dlaczego? Gdyby więc kapitał nie stał na żadnej stopie; gdyby mienie samo, samo posiadanie kapitału nie przynosiło żadnych zysków, gdyby kapitał był na nic: to, oczywiście, kraj taki byłby najbogatszym.

Staje się dla nas rzeczą jasną, iż duża stopa procentowa, czy to w przedsiębiorstwie, czy to w rencie jest urządzeniem społecznem lichem, jest — lichwą. Lichwa to rzecz — licha warta; tak samo warci są

licha ci, którzy tę lichwę uprawiają, ci, którzy lokują swe kapitały na dobrą stopę procentową.

Wielka stopa skłania kraj do nieruchomości, lub co najwyżej do ruchu bardzo powolnego. Mała stopa znamionuje rozkwit, szybki pęd życia.

Kapitaliście wszelki szybki ruch życia jest przykry. On kocha wszelką nieruchomość. On chciałby życie całe zamknąć w ogniotrwałej kasie, schować kluczyk do kamizelki i ciągnąć z kufla piwo, albo wino z buteleczki.

Co leży, to mu miłe; to co fruwa, to co pędzi co mknie szybko, co wybucha jak piorun, co szybuje,, co błyska, jak myśl — to dla kapitalisty nienawistne. To wszystko nazywa on fantazyą, bajką, histeryą, teoryą, wymysłem, waryactwem, bo to wszystko pozbawione jest należytej stopy procentowej.

— Żyć — powiada on — to znaczy zaspakajać apetyty fizyologiczne i basta. Onby te wszystkie wynalazki histeryczne, panie, ten cały tak zwany rozmach życia nadpoziomnego nabił w armatę i wystrzelił. Kapitał, panie, to grunt, jeżeli *nota bene* odpowiednio zahipotekowany i na należytej postawiony stopie procentowej. Dobrze zjadł, naodcinał sobie kuponków, panie, wyspał się, poceckał się z żonką, *da capo* coś przetrącił, znowu się wyspał, obejrzał barometr, uregulował zegarek, i żołądek, i puls, i basta.

— A jutro cóż się będzie robiło?

— Jutro? Jutro to samo.

— A pojutrze?

— Pojutrze? No, wypielęgnować dzieci, ponauczać je różnych nauk...

— Jakich nauk?

— Przedewszystkiem, aby umiały stopę procentową krzepko stawiać, podnosić ją i znowu stawiać. Oto jest, proszę pana, postęp.

— Bardzo niebezpieczny dla samego pana, panie kapitalisto.

— Czemuż tak?

— Bo jeżeli teraz za sto rubli bierze pan procentu rubli trzysta; jeżeli syn pański, postąpiwszy w tym postępie, będzie brał za sto rubli rubli pięćset; jeżeli prawnuk za sto rubli będzie zdzierał rubli tysiąc; to u jeszcze dalszych pokoleń, mając rubla, będzie można dostać za niego milion. Zastanów się pan: milion będzie wart rubla. W cóż się obróci wartość kapitału?

— Ale proszę nie zapominać, że ten kapitał, chociażby w postaci rubla, będę posiadał ja, kapitalista, albo mój wnuk, prawnuk. A milion będzie zawsze tylko pracą, będzie zawsze obowiązkiem milionów pracowania na mnie.

VII.

— Ale i pan, panie kapitalisto, niech nie zapomina pan, że w milionie może się obudzić świadomość; że miliony te mogą nareszcie powiedzieć sobie: dość! że mogą pana, panie kapitalisto, który uosabiasz moc rubla, nabić w armatę i wystrzelić. Co?

— To jest, panie, teorya, teorya anarchistyczna, utopia, mrzonki, panie, zawracanie głowy. Jak świat światem, kapitał zawsze będzie panował i basta!

— A czy pamiętasz pan, panie kapitalisto, czas, kiedyś dopiero powstawał z gliny, z guana, ze szczeciny i z cegły w proszku? Ten czas, kiedy cię stwa-

rzał Jowisz? Łakomy jesteś antenatów i szczycisz się nimi, to powinieneś szczycić się i swoim protoplastą — guanem.

— Proszę mnie nie obrażać.

— Nie obrażam pana, tylko przypominam mu Księgę Rodzaju, Genezis. Był czas, że kapitału nie było; może przyjść czas, że kapitału nie będzie. Kapitał to rzecz tak przemijająca i krucha, jak to ciało twoje, które choć okrągłe jak zero, i opiera się na wielkich, pulchnych stopach procentowych, będzie rosło, tłuściało, aż zepsuje się i ulegnie rozkładowi. A wówczas zacznie się życie inne.

— Jakież to życie się zacznie, panie poeto?

— Życie samej pracy, bez kapitału: życie samego dobra, bez żadnego licha, życie bez lichwy. Takie życie się zacznie, panie kapitalisto! I biada wówczas tobie. Nic cię nie obroni, nawet to, że przyjąłeś chrystyanizm, który jest dla ciebie tylko szyldem dla zwiększenia swojej procentowej stopy. Jowisz, który cię stworzył z guana, gliny, szczeciny i sproszkowanej cegły; Jowisz, który niezadowolony ze swego dzieła, strącił cię z Olimpu na ziemię, widząc, żeś z pobytu na niej nic nie skorzystał, a o Olimpie zapomniał: Jowisz napowrót cię na one pierwiastki, z których cię był złożył, rozłoży. Guano twoje powróci do Peru; glina do Saksonii; szczecina — tam gdzie jej róść najstosowniej; proszek ceglany — otrzyma w spadku warszawska kamienica tandetna; a duch twój nieszczęsny będzie się tułał w krainie ciemności, gdzie panuje najwyższa procentowa stopa.

A my, poeci, będziemy się przyglądali weselnie twoim mękom pośmiertnym. Będziemy patrzyli z wy-

żyn Olimpu na pokutne tułactwo twego biednego ducha. A duch twój wzniesionymi ku nam nikłymi cieniami rąk, będzie nas błagał jak o ratunek, jak o zbawienie, o jedno słowo, któreby rozwidniło mu ciemności. I stanie ci się jasnem, że nie w twojej stopie procentowej moc, jeno moc w ożywczem, twórczem słowie, które nowy żywot zapala.

VIII.

Dziś na okrąglakach ulicznych porozlepiane sążniste plakaty żałobne, najniezawodniej najdroższe w taksie; po gazetach na całej stronicy, albo i na dwóch stronach widać suto płatne obwieszczenia pozgonne; w paru kościołach odprawiają się solenne, drogo opłacone egzekwie; sklepy ogrodnicze otrzymały mnóstwo zamówień na wieńce trumienne, tak, że nie mogą nastarczyć kwiatów; magazyny bławatne przygotowują na gwałt olbrzymie wstęgi z napisem: „Nieodżałowanemu"..., „Czcigodnemu"..., „Zacnemu"..., „Zasłużonemu"..., „Dostojnemu"..., „Ojcu ojczyzny"..., „Ojcu dzieciom"..., „Mężowi żony własnej"..., „Mężowi żon cudzych"..., „Posiadaczowi"..., „Opiekunowi ochron"..., „Kuratorowi szkół"..., „Członkowi klubów wszystkich i niektórych innych"...

Co się stało? Czemu tak właściciele remiz przygotowują, myją i czyszczą najdroższe karety, które mają iść na Powązki? Czemu tak dziennikarze szperają po kronikach heraldycznych i koncypują najdroższe w cenniku nekrologi, czyli trupie słowa?

Skąd ten wrzask? ten tumult? ten lament oficyalny?

Co się stało?

Umarł kapitalista.

Pomimo, że go leczył najdroższy doktór w najdroższym kurorcie; pomimo, że najwyszukańsze miał lekarstwa; pomimo, że przez czas jego choroby leżała na ulicy przed jego domem słoma, aby mu nie przeszkadzało umierać turkoczące życie; pomimo, że modlili się za niego po kościołach i odprawiali na jego intencye wotywy najpobożniejsi, najbardziej renomowani pod względem wpływów swoich w niebie księża: pomimo to wszystko — umarł.

Umarł, pomimo nagromadzania przez całe swoje życie tych wszystkich drogich rzeczy, które stanowią jakby życia paliwo. Ale piec, czyli ciało kapitalisty, nie wytrzymało tego nadmiernego paliwa zapasu i roztyło się jak piec i jak piec przepalony zaczęło ulegać zepsuciu. Glazura na nim zaczęła się łuszczyć i pękać; pozatykało coś kanały wewnętrzne i przewody; przybywało i wtykało się w piec więcej, niż on mógł spalić i wydać, i dlatego piec zaczął dymić; porobiły się w nim szpary, poodpadała glina i miejscami wystąpiły jakby pryszcze i wrzody. Kapitalista, czyli piec, stał się do palenia niezdatnym; nie dawał ciepła, zaziębiał innych, zaziębił się sam i umarł.

Kapitalista, kiedy żył, podobny był grubością do pieca i do kasy ogniotrwałej. Teraz, po śmierci, wcielił się w pękatą, jak brzuch, marmurową bryłę. Ten głaz który był na nim, umarłym, podobny jest do przewróconego na płask pudła kasy ogniotrwałej. Ten łańcuch żelazny, służący mu za ozdobę — to dawniejsza dewizka złota. Ten napis grobowy, sążnisty — to jakby nekrolog w dzienniku, na całą stronicę, drogo zapła

cony. Ta kolumna ścięta, którą widzisz — to skamieniała skarbonka, a urna na niej — to dawniejsza popielniczka do cygar, w powiększeniu. Na pomniku tym widnieje napis, który jest wyrazem kapitalistycznego dogmatu, a mianowicie: D. O. M.

Jakoż jest ten grób, ten DOM, ten *dom* pośmiertny rezydencyą kapitalisty. Jest to kasa ogniotrwała, gdzie mieszczą się drogocenne relikwie kapitalistycznego ciała.

IX.

Gdy się zmarło kapitaliście, nic o tem w niebie nie wiedziano *). Pewnego dnia Jowisz przywołał do siebie Merkurego i powiada:

— Leć no na ziemię, zobacz co porabia to stworzenie, którem stworzył z gliny, z cegły i sierści.

— Umarło.

— A ty skąd wiesz?

— Jako przedstawiciel i patron dziennikarzy, wiem wszystko: *„je sais tout“*.

— Czy nawet i to wiesz, czego ja, bóg, nie wiem?

— Naturalnie. Twoją rzeczą, rzeczą boską, jest stwarzać. A moją rzeczą, merkuryalną jest wiedzieć, co stworzone i co przestało żyć, umarło. Sensacyjna wiadomość o nowym wynalazku i nekrolog — oto dwa działy życia, w których celować przystoi Merkuremu.

— Jeżeli takiś mądry — powiada Jowisz — to powiedz, jakie zmiany zaszły na ziemi, od czasu, gdym zrzucił na nią kapitalistę?

*) Ponieważ z niebem komunikacyi jeszcze bez drutu niema.

— Jakie zmiany? Olbrzymie. Dawniej, przed kapitalistą, ci ludzie jedli i pili, którzy pracowali. A gdy przyszedł kapitalista i wynalazł pieniądz, tylko ten je i pije, kto ten pieniądz posiada. I dlatego nawet pieniądz ma tę dziwną nazwę, która właściwie oznacza: pije i je... niądz.

— A cóż znaczy niądz?

— Niądz to końcówka taka jak przy słowie koniądz: ko-niądz, czyli książę-plutokrata.

— Więc pieniądz, powiadasz...

— Pieniądz, jako wynalazek kapitalistyczny, zapanował całkiem nad pracą, nad twórczością, nad rzeczą boską. Na ziemi teraz jest tak, że ten co pracuje, ten cierpi nędzę. A kto pieniądz ma, ten nie pracuje i pije i je.

— Jakże to się stało, na Boga! Mów!

— A tak się stało. Człowiek ażeby żyć, musiał pracować. Pierwotnie praca, praca w raju, polegała na tem, że człowiek, gdy czuł głód, szedł do drzewa i trząsł je. Spadało owoców znacznie więcej, niż było człowiekowi głodnemu potrzeba. Widząc to kapitalista, sam za słaby, za leniwy ażeby samemu drzewo trząść, zbierał to, co tamtemu zbywało i chował do śpichrza. Gdy nadeszła zima, głodny człowiek za drzewo — a tu na drzewie ani jednej sztuki. Co tu robić? Kapitalista wówczas pokazuje jabłuszko i powiada:

— Zostań moim niewolnikiem, to ci dam jeść.

Cóż miał robić człowiek głodny? Zaprzedał się w niewolę, i odtąd musi kapitaliście, jako niewolnik, trząść drzewa za darmo, a raczej za tyle, że ledwie mu starczy na zaspokojenie głodu.

— Ależ to okropne!

— Nieinaczej. A cały sekret kapitalisty w tem że umiał chować na zapas. Czego dziś nie zjadł, to chował sobie, chował, aż się dochował.

— I aż go pochowali, co?

Tak, pochowali w bogatem mauzoleum.

— Więc teraz, kiedy go pochowali, powinno być ludziom lepiej.

— Wątpię. Zostało po nim coś: został dogmat — ciało.

— To leć na ziemię, zabierz mi to kapitalistyczne ciało i tu przynieś. Rozłożymy je na części składowe na guano, glinę i sierść i uwolnimy ziemię od tego potwora. Leć.

Merkury poleciał, ale za małą chwilę powrócił i powiada.

— Nie da się ciało zabrać, bo zbyt przytłoczone nagrobkiem i obwarowane łańcuchami.

To weź sobie do pomocy Czas i lećcie.

Powrócił Merkury na ziemię, a z nim Czas. Wybudowali sobie na Powązkach, tuż przy grobie kapitalisty, barak i zaczęli działać. Czas gryzł łańcuchy rdzą, rozkruszał marmur, rozpłukiwał go deszczem, niszczył pleśnią. Co uszczknie kawałeczek zwłok kapitalistycznych, to miesza z czystem powietrzem i posyła do nieba, do Jowisza, ponieważ w niebie mogą istnieć rzeczy tylko lotne.

A kiedy już całe mauzoleum kapitalistyczne czas rozlotnił; kiedy już ostatni szczątek kapitalisty przemienił się w czyste powietrze, wtedy na ziemi ludziom zaczęło się żyć lepiej i będzie coraz lepiej. Amen.

GWIAZDOZBIÓR WIELKIEJ NIEDŹWIEDZICY

1) GWIAZDA A.

Proletaryat, czyli potomstwo nasze (proles) — potomstwo bogaczów, sypia w ten sposób. Jest jedna izba na ludzi ośmioro, albo i więcej, i jest jedna poduszka, bez materaców i łóżek. Poduszkę tę kładą na środek izby, jako węzgłowie ogólne. Wszyscy opierają głowy na niej, a nogami wyciągnięci dookoła, stanowią rodzaj promieni. To się nazywa sypiać w gwiazdę. Głowy są tej gwiazdy jakby jądrem. I niezawodnie śnią te głowy, śni to jądro mózgów proletaryackich cudny sen o tem, iż przyjdzie czas, kiedy człowiek każdy będzie miał osobną poduszkę własną, jedno głowy oparcie własne.

2) GWIAZDA B.

Bal dobroczynny na niedolę, na proletaryat. Olbrzymia, udekorowana kwiatami, sala, również, jak u proletaryatu, jest bez materaców i bez łóżek. I jest jedna wielka dla wszystkich poduszka — niedola. Poduszka leży na środku, a naokoło niej depcą tancerze nogami. Bogacze, w imię nędzy proletaryackiej łączą się za pośrednictwem nóg.

Jądro gwiazdy plutokratycznej stanowią nie głowy jak tam, tylko nogi. Im więcej nóg, tem większe jądro i tem więcej dla niedoli ma się zebrać grosza. Dążeniem filantropów rzetelnych jest mieć po cztery nogi, ażeby można było tem dobroczynniej w imię niedoli tańczyć i wogóle postępować. Dobroczynny każdy filantrop chciałby być czworonogiem. To jest jego marzenie dla ludzkości; to jest jego sen na rzecz niedoli. Nie mając jeszcze spełnienia tego snu, przynajmniej tańczy za czterech — na niedolę.

3) GWIAZDA C.

Tancerka, ale nie dobroczynna. Ma dużo, dużo materaców i dużo poduszek. I ma dużo sypiających na tem panów promieni. Jedne promienie wetknięte w nią głowami; inne — nogami. A ona jest dla wszystkich jądrem. Panowie promienie pracują na to jądro i głowami i sercami i trzymają się go rękami i nogami. A jądro tańcuje i śni złoty sen: że wszyscy panowie mają po wiele, wiele nóg — po sto, że są stonogami, przynoszącemi jej, tancerce - gwieździe złoto. Głowy tym stonogom potrzebne na to jedynie, aby coraz więcej zdobywać złota i przynosić je dla niej na stu nogach.

Każdy z panów promieni marzy o tem, aby jądro to posiąść na własność; aby tancerka, aby ta gwiazda była dla każdego taką moją, moją, taką najmojszą. Ale to jest próżne marzenie. Gwiazda ta jest tem świetniejsza, im więcej promieni *rzuca* precz od siebie. Jej potrzebne tylko ich złoto, ich blask plutokratyczny. Gdyby się oddała tylko jednemu, zgasłaby. Co jest najwspanialszego w tem zjawisku, to to, że taka gwiazda najczęściej pochodzi od tej gwiazdy proletaryackiej, która sypia na jednej ogólnej poduszce, bez materaców i łóżek. Sypiała od dzieciństwa w gwiazdę, więc nauczyła się być zjawiskiem błyszczącem, świetlanem, nauczyła się tego, iż panowie promienie jej służą. I to jest dobroczynność panów prawdziwa.

4) GWIAZDA D.

Gwiazda - order. Order świętego Stanisława, świętego Jerzego, świętej Anny i innych świętych. Gwiazdę - order dostaje się za nadzwyczajne usługi dla rządu (ordo). Przyozdobiona licznemi gwiazdami pierś munduru wygląda, jak niebo. Dlatego najczęściej gwiazdami ozdobiona bywa pierś niebieska. Patrząc w niebo, mamy złudzenie, iż gwiazdy są do czegoś przytwierdzone, że na czemś wiszą. Ale, jak wiemy, niebo jest próżnią. Tak samo rzecz się ma i co do niebieskiej przestrzeni mundurowej: jest to próżnia, co do której mamy złudzenie, że jest czemś, na czem możemy się oprzeć. Ale niestety, opierają się na niej tylko gwiazdy-ordery. Ordery noszą nazwę świętych. Widocznie święci trzymają stronę rządu. Ale czy trzyma jego stronę Bóg, to jeszcze kwestya.

5) GWIAZDA E.

Stolik karciany. Siedzą na krzyż czterej panowie promienie i grają, świecąc łysinami. Grają gracze; grają światła świec; grają pierścienie; grają namiętności; grają kombinacye podstępów pokierowych; grają cztery kolory kart, grają cztery ich stany: asy, króle, damy, walety i reszta-proletaryat, mający za tytuł dyskę, trzy trojaki, ośmiorak, siedmiorak, sześciorak albo szóstkę, piątkę, czworaka, trojaka, dwojaki albo dwójkę. Wszystko gra. Czasem promienie zmieniają miejsca; przesiadają się naokoło jasnego, zielonego jądra, na którem się rozgrywa ich los: świeci wygraną, albo świeci pustką przegranej.

Gdyby z nieba jaki duch spojrzał na tę gwiazdę, ujrzałby grę tęczowych promieni-tęczówek dookoła zielonego centrum-poduszki. Cztery głowy lub pięć stykają się z sobą w jednej izbie bez materaców i łóżek, jak w suterenie proletaryackiej. *Les extrémités se touchent.*

6) GWIAZDA F.

Ładna panna. Dookoła niej kawalerowie. Bawią ją, grają oczami i słówkami; świecą się ich białe gorsy i mankiety i spinki i zęby wraz z ich plombami złotemi, albo i bez plomb.

Każdy z kawalerów rozjaśniony jest nadzieją, iż to on właśnie jest najupodobańszy. Kontent, jeżeli mu się uda mówić, gdy inni słuchają, a gdy milczeć wypadnie jemu — zaraz gaśnie i w czarnem milczeniu przygotowuje dla przeciwnika pocisk.

Ładnej pannie lśni łono, jak lampa elektryczna z atłasowym abażurkiem, odwrócona do góry nogami. Uśmiecha się rozkosznie jej twarzyczka biała i różowa; twarzyczka — to druga lampa elektryczna z czapą włosów, wielką, jak abażur.

— *A bas jour!* Precz z dniem! — wołają te abażury panieńskie. Poco dzień, kiedy we dnie niema balów!

7) GWIAZDA G.

Głowonóg-polip: Kapitał. Ma wielką, jak otchłań, głowę-paszczę i osiem nóg-ramion. Pracuje nogoramionami ośmioma, aby chwytać zdobycz i pochłaniać głową-paszczą. Jedno nogo-ramię — militaryzm; drugie nogo-ramię — przemysł; trzecie — handel; czwarte — trust; piąte — lokaut; szóste — prostytucya; siódme nogo-ramię — filantropia.

Wszystkie te ramiona, jak ohydne, potworne węże, pływają w oceanie życia i łowią żer i pchają do głowy-paszczy ludzkość i chłoną.

CUDZYSŁÓW

Idąc ulicą, można u nas czytać na szybach tytuły czasopism w języku polskim, ale wzięte w cudzysłów, na przykład: „Słowo Polskie", „Głos Warszawski", „Mowa Polska", „Niezależność Polska", „Samorząd Polski" i inne.

Wszystkie te „polskości" są w cudzysłowie — w cudzem słowie.

Polska jest w cudzem słowie.

Wszystko rdzennie polskie otoczone jest cudzością, jest wzięte w cudzysłów.

Te dwie pary przecinków cudzysłownych („—") — to dwie pary szponów drapieżnych; to dwie pary kajdan; to dwie pary wampirów; to kolce cierniowe, które obcość wbija nam do głów i kalecząco otacza naszą polskość; te znaczki cudzysłowu to laseczniki suchot, to bakterye dżumne, to stygmat zarazy, to plaga, to kara niebios.

Polska tak nadużywała cudzego słowa: łacińskiego, francuskiego, niemieckiego, włoskiego etc. i tak nie dbała o słowo własne, iż wkońcu sama została wzięta w cudzysłów, w imię prawa: kto się nie rządzi sam, tym rządzą inni; komu się przykrzyło w słowie własnem, ten jest w słowie cudzem — w cudzysłowie.

Język polski był długo językiem, którym się mówiło tylko do „ludzi"; *panowie* używali języków ob-

cych: i dlatego w kraju panowała, aż zapanowała obcość.

Zapanował cudzysłów.

*

Cudzysłów po rosyjsku nazywa się „kowyczki". Jeżeli napiszemy tak: o-kowy-czki, to pierwsze dwa artykuły tego wyrazu „okowy", wykażą nam jakie właściwie położenie w cudzem słowie zajmuje Polska.

Francuzi, Niemcy, Anglicy — tworzą, wyrzucają z siebie, oczyszczają się, a my, Polacy, jesteśmy odbiorcami, którzy to wszystko przyjmują w siebie, wchłaniają, zanieczyszczają się, walają (a tamci się wyzwalają!). My, Polacy, jesteśmy rynkiem, targowiskiem, gdzie zbywa się wyrób tamtych. My jesteśmy Zululandem, Kamerunem, Algierem dla zbytu paciorków, lusterek, kółek mosiężnych i innych świecideł francuskich, germańskich i angielskich.

Kto powiada: używamy rzeczy obcych, bo nie mamy swoich, temu odpowiada się: nie mamy rzeczy swoich, bo używamy obcych.

*

Tłómaczenie z obcych języków jest i użyteczne i szkodliwe: użyteczne, gdy obcość nam służy; szkodliwe, gdy my służymy dla obcości.

Szkodliwość (przekładów) jest przedewszystkiem ta, że uczy nas przekładać, przenosić tak zwaną treść (obcą) nad formę (własną). Przekład każe nam zapominać o tem, że istotę rzeczy, istotę życia, stanowi pewna forma, pewna idea. To, co nazywamy treścią jest to materya; kiedy tymczasem właśnie duch, właśnie idea stanowi formę. Na przykład: róża i zielsko, co

do treści, składają się z tych samych pierwiastków roślinnych (ileś tam chlorofilu, ileś tam krzemu, ileś tam węglowodanów, ileś tam barwników). Ale różnicę pomiędzy tą i tamtem stanowi forma — idea. Blok marmuru, z którego Michał Anioł zrobił posąg Mojżesza, był zwyczajną, nie nazbyt cenną treścią, bryły kawałem. Lecz gdy mistrz nadał tej treści formę, wtedy dopiero nabrała ceny.

Przełożyć posąg Michała Anioła na język polski, to nie znaczy zrobić z niego choćby najwierniejszą kopię, tylko wykonać dzieło równe temuż co do wartości.

Przekładem Boga na ziemskość są piramidy egipskie; przekładem piramid na greckie jest sztuka klasyczna; przekładem klasycyzmu na włoskie jest odrodzenie; przekładem odrodzenia na germańskość jest gotyk.

A przekładem gotyku na polskość jest... nie stworzenie dzieła odpowiedniego polskiego, tylko właśnie jest tego germańskiego gotyku — *kopia!*

Ale kto stworzyć własne rzeczy mogąc, robi kopie rzeczy obcych, ten swój naród „kopie".

Zamiast stworzyć duchowieństwo własne, mamy kopię duchowieństwa rzymskiego.

Zamiast mieć kościół własny, mamy kopię kościoła obcego.

Zamiast stworzyć rząd własny, mamy kopię rządów obcych i mamy nie rząd własny, mamy własny nierząd.

Zamiast mieć duch własny, mamy kopię ducha, a Król Duch nasz własny jest zrzucony z katedry uniwersyteckiej — na podłogę!

Rządzi u nas „cudzysłów!"

*

Życie wtedy dopiero możemy nazwać życiem naszem, kiedy ono ma naszą własną formę i kiedy nosi na sobie znamię idei naszej; kiedy życie nasze powstało z naszego słowa; kiedy naszem ciałem stało się słowo nasze. Słowem cudzem gdy się żywimy, słowo cudze gdy ucieleśniamy, zawsze jesteśmy tylko pastwą dla cudzej idei; zawsze jesteśmy tylko podścieliskiem, podłożem, glebą dla rozkrzewiania się formy cudzej — cudzego życia.

Zawsze jesteśmy w cudzysłowie.

*

Kultura nie polega na tem, żeby się tylko zajmować tem, co zrobili inni, lecz na tem, żeby wytworzyć w sobie coś, co stanowiłoby przedmiot zainteresowania się ogólnego. Kultura nie polega na opisywaniu i propagowaniu odkrycia cudzego (apostolstwo krzyżackie) lecz na uzdolnieniu siebie do odkryć. Być kulturalnym nie znaczy znać rzeczy znane, stworzone już, tylko na rzeczy nieznane, na rzeczy n i e s t w o r z o n e otwierać ludziom oczy.

*

Są przekłady dobre i przekłady złe. Dla tłómacza dobrego treść obca będzie służyła mu tylko do uwydatnienia, do udoskonalenia formy własnej, własnej idei, własnego słowa. Tłómacz zły poświęca swoją formę, swój język, swoją ideę dla uwydatnienia, dla rozmnożenia się treści cudzej, cudzej materyi.

Tłómacz dobry podporządkowuje obcą materyę swemu duchowi; dla tłómacza złego obca treść, obca materya jest panem, jest kanonem obowiązującym jego ducha.

Tłómacz dobry może wziąć cudzy wynalazek, ale nada mu swoją formę, zastosuje go do swojej idei; tłómacz zły umie korzystać z obcego wynalazku tylko w obcej formie.

Tłómacz dobry — to sumienny informator, to budowniczy, budujący z obcego materyału własne dzieło; to architekt, to strategiczny inżynier, przeprowadzający most przez rzekę, dla zdobycia wiedzy obcej na korzyść własnej idei.

Tłómacz zły — to zdrajca, to renegat uwielbiający obcość i dla niej poświęcający własną mowę.

*

Polak, który we własnej mowie nie dojrzał, musi dla wypowiedzenia swoich aspiracyi życiowych, dla dojrzenia, używać autorów obcych. Tak jak Murzyn, który uważa się za człowieka ucywilizowanego dopiero wówczas, gdy nadzieje cylinder francuski, mankiety niemieckie i angielską dewizkę z zegarkiem.

Nie chodzi o to, żeby wszystkie rzeczy w życiu potrzebne wyrabiać u siebie, tylko o to chodzi, żeby to, co się u nas wyrabia, miało wartość powszechną.

Jeden tłómacz — to człowiek, który własnej mowy używa, jako doskonałego narzędzia optycznego, dla oglądania obcych światów, dla bogacenia się nimi, dla rozwijania własnego ducha.

Inny tłómacz — to służący, który przez dziurkę od klucza podpatruje i podziwia obce mu bogactwo i zapomina przytem własnego „języka w gębie".

Jeden, stojąc na własnym gruncie krzepko, bada obcość i przyjmuje ją o tyle, o ile ona potęguje moc jego własną; drugi — to kopista, to naśladowca, to

fanatyk rzeczy obcych, to uczeń i prozelita obcości, to materyalista wierzący w treść, w bryłę martwą, w nicość.

Jeden kocha swoją narodowość i dla jej podboju, dla jej spotężnienia, bierze z obcości to, co służy ogólnemu dobru narodowemu; drugi tłómaczy jedynie dla obniżenia swojej narodowości, dla sponiewierania jej, dla złożenia ofiary obcym bożkom.

Jeden tłómaczeniem swojem mówi: czytajcie i utrwalajcie się w duszach własnych, aby nie były ciemniejsze i słabsze od dusz obcych, lecz aby się równały im i wyprzedziły je; drugi tłómaczeniem swojem powiada: czytajcie, abyście się przerzucili całkiem do rzeczy obcych, a swoich poniechali. Zrobił to już on, zły tłómacz, który pogiął, połamał i pokoszlawił swój język dla uwydatnienia piękności obcej. I zrobił to napróżno. Bo piękność obcą można uczcić i wyrazić w sposób najwyższy i jedynie godny człowieka, potęgując piękno własne. Bo miłość swobody można zaznaczyć, można wytłómaczyć tylko stawszy się człowiekiem swobodnym, a nie ulegając innym niewolniczo. Miłości dla piękna można dowieść jedynie stawszy się pięknym, a nie gdy się te piękności zbrzydzi naśladownictwem.

*

Tłómacz dobry — to wódz, który zaciąga do swej armii poddanych obcych; tłómacz zły — to dezerter, który swój legion opuszcza dla sprawy obcej.

Tłómacz dobry — to hetman zdobywca; tłómacz zły — to najmita, to pachoł, to ciura obozowy, to gryzoń ziarn obcych, które tnie na plewy.

Tłómacz dobry — to władca, który nie lęka się ogarnąć literatury świata całego i nie obawia się w niej

zginąć, zawsze wierny sobie, wierny swemu duchowi, swojej formie, swojej idei; tłómacz zły — to uciekinier z własnego ducha, który chce się w obcości zagubić, zaprzèpaścić i który jest jak żyd co zwątpił, czy może dojść szczytów cywilizacyjnych w swojej własnej formie, własnej kulturze i przybiera kulturę obcą — pasorzytuje.

Tłómacz dobry — to geograf opisujący ziemię mową własną; tłómacz zły, pseudo-polski — to rozbitek, mówiący mową tego kraju, w którym go los tłómaczycielski osiedlił, nawet starający się mówić akcentem miejscowym.

*

Dzisiejsze tłómaczenia polskie, z małymi wyjątkami, to beznadziejne, niewzajemne, służalcze, zakochanie się w obcości. Natomiast dawne tłómaczenia nasze (z epoki złotej, z małymi wyjątkami), to obcość roztopiona w ogniu mowy polskiej, w żarze własnego ducha.

Dzisiejsze tłómaczenia polskie, z małymi wyjątkami, to rezygnacya z rzeczy swoich na rzecz obcości; dawniejsze tłómaczenia polskie — to zdobycz, to podbój, to odkrycie nasze.

Dzisiejsze przekłady, z małymi wyjątkami, to ucieczka od rzeczy swoich, to upadek na kolana przed obcością, to barbarzyński wobec lusterek francusko-niemieckich zachwyt.

*

Gdzie indziej, nie u nas, gdy tłómaczą się i wydają dzieła kompletne obcego autora, poświęca się predylekcyę osobistą dla tego lub innego tomu oryginału, w imię celów ogólnych, mianowicie dla dobra własnej idei, własnej formy, którą jest doskonałość.

U nas wydaje się tylko pewne rzeczy (w skróceniach i przeróbkach tandetnych), mianowicie, rzeczy najpoczytniejsze, najsensacyjniejsze, dla prędszego zbytu.

*

Tłómacz jest to pisarz, najczęściej nie władający językiem swoim dobrze, nie posiadający stylu własnego, lub posiadający styl zły. Bo gdyby miał styl własny i dobry, toby pisał rzeczy oryginalne.

Taki tłómacz, niedokształcony w mowie własnej, nie uznaje autorów swoich i korzy się przed obcymi. Taki tłómacz przyczepia swoje nazwisko do jakiegoś sławnego dzieła zagranicznego, przekłada je niewolniczo i ufa, że wraz z tem dziełem przejdzie do potomności. I przechodzi; przechodzi tak, jak robak w serze do brzucha konsumenta.

*

Nie można niczego tłómaczyć, dopóki się nie zrozumiało swego. Nie można korzystać z obcej treści, dopóki się nie owładnęło formą własną. Nie można być *kimś*, zanim się nie jest sobą. Nie można rozumieć innych, dopóki się nie zrozumiało siebie.

*

Pani, która utrzymuje pensyę dla dziewcząt, gdzie uczą się różnych nauk pochodzących z tłómaczeń, nazywa się bardzo odpowiednio — przełożoną. Jest to pani nie oryginalna, tylko *przełożona*. I takim jest u nas mniej więcej każdy przełożony, każdy zwierzchnik, który mądrość swą czerpie z przekładów.

Uczyć naprawdę można tylko siebie, wykładać — siebie, szczepić coś w sobie. Uczenie innych jest kradzieżą cudzej uwagi, dla dopełnienia swoich braków.

*

List do szanownego krytyka estetycznego, albo do historyka literatury.

Szanowny Panie krytyku estetyczny, albo historyku literatury!

To rzeczy piękne, o których Pan mówi, są piękne, tak. Ale czy Pan ma w sobie odrobinę piękna? Czy Pan jesteś temi pięknemi rzeczami? Czy masz zdolność stawania się pięknem? Przypuśćmy nawet, że Pan ma w tym lub innym razie słuszność, że autor X. tworzy lepiej od autora Y. Ale cóż z tego? Cóż z tego komu przyjdzie? I jeden i drugi autor zostaną wielkimi twórcami. A Pan? Co Panu z tej konstatacyi przyjdzie, że ten lepszy od tamtego? Coby Pan myślał o roli człowieka, wołającego w dzień, że jest dzień, a w nocy krzyczącego że jest noc. Krzyczałby nam to, o czem i sami wiemy. Powiada Pan, że nie tworzy sam przez skromność, wiedząc, że i ten i tamten tworzyli tak, jak Panby nigdy tego nie osiągnął. Właśnie. Różnica między Panem, krytykiem estetycznym, a artystą jest ta, że artysta nie leni się wystąpić, że ma wiarą w siebie, że wierzy w swoje istnienie i śmiało powiada: żyję; sądźcie mię, gańcie lub chwalcie. Pan boi się tego wystąpienia; boi się Pan domniemanej zgany, bo Pan wierzy w swoje niepowodzenie raczej niż w zwycięztwo; bo tchórzy Pan; bo kryje się w cień, chcąc ukryć własnego ducha ubóstwo, ukryć swoją pasorzytniczość, swoją niezdolność. Powie mi Pan, że dosyć zasługi wiedzieć cośkolwiek o tej lub innej z uznanych powag i że to właśnie stanowi kulturę. O Panie! To jest kultura, ale kultura pasorzytnicza, którą za wiele żyliśmy. Gdyby Cezar poprzestał na stwierdzeniu, iż przed nim był Aleksander Macedoński, to nie byłoby

Cezara; gdyby Napoleon zadowolił się tem, że przed nim był Cezar, to nie byłoby Napoleona. Ci ludzie śmiali, przedsiębiorczy, którzy występują ze swoją działalnością, pomimo uznanych i kanonizowanych powag— ci ludzie tworzą kulturę. Przed Michałem Aniołem byli znakomici artyści, a jednak to nie przeszkadzało tworzyć i jemu. Bo artysta każdy jest dalszym ciągiem całego szeregu artystów poprzednich, tak jak estetyczny krytyk każdy jest dalszym ciągiem całego szeregu nieudolności poprzednich. A nieudolności te rozumują tak: ponieważ przed nami była sztuka grecka, więc sztuka nasza powinna być jej kopiowaniem i jej komentowaniem i jej uczeniem w szkołach. Czyż kwiat rozumuje w ten sposób: ponieważ przede mną było drzewo, więc i ja powinienem być tylko drzewem?... Krytycy estetyczni i historycy literatury — to ludzie tchórzliwi, samolubni, ambitni lecz nieudolni. Oni to właśnie dłubią w historyach kultury i wystawiają na widok publiczny swoje mniemane uwielbienie dla mistrzów. Mniemane, bo naprawdę taki człowiek słaby, tchórzliwy, samolubny, ambitny i nieudolny czyż potrafi uwielbiać? On uwielbia nieświadomie tylko swoją własną osobistotkę, o której dobrego mniemania własnego nie chce na szwank narazić. Ale odwaga, tylko odwaga tworzy życie i tworzy sztukę. Tchórzostwo zabija i jedno i drugie. Dzięki odwadze życia, żyje dziecko, i przez brak odwagi życia człowiek dorosły — umiera. Artysta, twórca — to dziecko; krytyk — to człowiek dorosły. Artysta przychodzi na świat, zjawia się, aby żyć; krytyk ukazuje się, jak bąbel na wodzie, dorosły, okrągły, aby pęknąć i umrzeć.

*

Człowiek, który ciągle się uczy stylistyki, ciągle stylizuje rzeczy stworzone przez innych to człowiek potrzebny, ale tak, jak potrzebny jest maroder.

*

Tłómacz powstaje na drodze rezygnacyi i niewiary w siebie. Tłómacz wchłania w siebie autora i wydaje na świat trochę sieczki. Autor wchłania w siebie cały świat (łącznie z krytykiem estetycznym) i wydaje na świat arcydzieło.

Tłómacz — to gastronom preparujący różne smakołyki z arcydzieł.

*

Dąb, świerk, brzoza — to wynalazki twórcze. Ale to tylko rozplenia te drzewa, ten jest tylko kopistą, naśladowcą, uzurpatorem. Kto zaś na widok tych utworów oryginalnych wytwarza w sobie nowy typ, nowy gatunek duchowości, nowego człowieka, ten jest artystą.

*

Ocean — to artysta lśniący barwami słonecznych efektów; krytyk — to ten, który zaczerpnął w oceanie wziął na dłoń trochę wody i bada ją. Ale w tej wodzie na dłoni gra barw słonecznych już zgasła.

*

Zabawne są pretensye krytyków społecznych dziennikarzy) do autorów, nie-naturalistów, że nie dzwierciedlają rzeczywistości. Zapominają ci krytycy b nie wiedzą o tem, że ważniejszymi autorami są , którzy tę rzeczywistość tworzą, nie zaś ci, którzy niej robią kopie.

*

Tłómacz, wielbiciel, smakosz, wydanem tłómaczeem zdaje się mówić: oto pracuję teraz nad takim

a takim autorem: ceńcie mój wielki trud i nagródźcie przynajmniej katedrą literatury. — Właściwie czytelnik miałby niejakie prawo żądać, aby swojemi pracami autor nie chwalił się, tylko dał jemu, czytelnikowi, tych prac rezultat w postaci własnego dzieła, którem na przykład mogłoby być całkowite wytępienie z siebie pychy i żądzy profesorstwa.

*

Tłómaczenie tak zwane kontwórcze, współgenialne, polegające na tem, że tłómacz niedojrzałe swoje własne aspiracye wypowiada przez dzieło autora, podobne jest do tych zabawek dziecinnych, gdzie daje się gotowy już rysunek i chodzi tylko o to, ażeby go dziecko jeszcze powlokło kolorami (też wskazanemi).

*

Autor oryginalny — to oryginalne, jedynie dla nas przeznaczone narzędzie optyczne do oglądania boskości. My oglądamy boskość przez pryzmat cudzego słowa. Rządzi naszą boskością — c u d z y s ł ó w.

*

Rewolucyonista jest poniekąd twórcą życia — twórcą realnym. Ale ponad tem jest twórczość poezyi. Bo przecież twórca realny wciela tylko ideał wyrobiony przez kogoś, przez jakiegoś pozaspołecznego właśnie myśliciela (Kant, Lassal, Marks, Paskal, Chrystus etc.)

*

Krytyk, esseista, publicysta, który szermuje nazwiskami autorów, zwłaszcza obcych, jest podobny do kapitalisty, brzęczącego sztukami złota, dla nadania sobie większej wartości i dla zaimponowania biedakom — czytelnikom.

*

Autor to złoto. Krytyk-wydawca — to złotnik lub kapitalista, który złoto puszcza w kurs. Kompozytor to wynalazca, ale na wynalazku jego robi majątek wirtuoz.

*

Wirtuoz ma się lepiej niż kompozytor; nabywca wynalazku — lepiej niż wynalazca; księgarz — lepiej niż piszący książki; fabrykant — lepiej niż robotnik; wydawca tłómaczeń — lepiej niż tłómacz i niż autor; człowiek ma się lepiej niż Bóg.

*

Pewnej nocy miałem sen. Śniłem, że chodzę po ulicach jakiegoś miasta i czytam na szyldach tytuły pism różnych, ale przy żadnym z nich niema przymiotnika „polski", dlatego, że wszystko, cokolwiek się w tem mieście pisze i robi, jest polskie i nie trzeba o tem ogłaszać. I żaden z tych tytułów niema już przy sobie jakby straży cenzuralnej — cudzysłowu. Nic już w tem mieście nie jest brane w cudzysłów, jak do kozy. Wszystko jest wolne. Niema już dualizmu, niema już dwójjęzyczności szyldów. Zapanował monizm. Bóg stał się naprawdę człowiekiem. Swoboda wyzwoliła się z cudzysłowu i stała się życiem. Słowo nasze stało się ciałem naszem. Król Duch nasz podjęty jest z ziemi: podjęły go dłonie pracowite i troskliwe ze czcią, otarły z prochu i wprowadziły na tron.

A wtenczas stanął w ognistej koronie
Ducha nowego śpiewak między nami.
Wtenczas ojczyznę własnymi tonami
Odzywającą się z wiekowej ciszy
Każdy z nas słyszał, lub sądził, że słyszy.

(Rapsod „Króla Ducha" zaniechany: „Bezdno".)

NIĆ ARYADNY

I.

Wszystko znane, widziane, dotknięte, namacalne — to tak zwana realność, albo tak zwana rzeczywistość.

Czy jednak rzeczy nieznane, niewidziane, niedotknięte są przeto nie-realne? nie-rzeczywiste?

Bieguny ziemskie są nieznane, nikt ich nie dotykał, nie macał ich, a mimo to jednak wierzymy w ich istnienie, na zasadzie wyobrażenia (tylko wyobrażenia, a nie naoczności) ziemskiego globu.

Zatem wiara już stanowi realność.

Myślowy kształt rzeczy jest już rzeczywistością, realnością.

Chodziłoby więc jedynie o spotęgowanie wiary w pewną rzecz, aby ta rzecz uwidoczniła się dla nas.

Wiara tworzy widomość.

Wszakże pojęcie o ziemi, jako o globie, jest nie tak dawne. Przedtem wierzono, iż ziemia jest płaska.

Ludzie żyjący żyją pewną wiarą i wiarę tę narzucają niewiernym.

Niedowiarek, jeżeli spojrzy wstecz, za siebie — ujrzy ze zdumieniem, iż to, co wydawało mu się niewzruszonem, przestało teraz dlań istnieć.

On wierzy już teraz w co innego, w innego Boga.

Nawrócił się.

Nawrócił się, to znaczy powziął inne zapatrywanie i to zapatrywanie, to pojęcie, ta idea stała się dla niego rzeczywistością, życiem.

Więc ta rzeczywistość, to życie, jest tylko pewną wiarą, pewnem złudzeniem.

Żyć znaczy zmieniać złudzenia.

Żyć znaczy tworzyć nową o życiu wiarę.

II.

Gdyby ziemia przestała się obracać?

Wszakże przed Kopernikiem nie obracała się. Gdyby więc z woli jakiego nowego Kopernika glob ziemski wstrzymał swój bieg?

Wtedy, niewątpliwie, zaczęłoby się koło niego obracać słońce.

Czybyśmy cośkolwiek na tem stracili?

Nic. Wszakże przed Kopernikiem obracało się koło ziemi słońce, a tak, jak dziś, był dzień i była noc, był rok z czterema porami, było światło i była ciemność, było życie i była śmierć.

Jadąc koleją, łudzimy się czasem, że droga biegnie a pociąg stoi w miejscu.

Gdyby tak było naprawdę, czemby to się różniło od jazdy zwykłej?

Gdyby rzeczywistość była złudzeniem, nicbyśmy na tem nie stracili, tak samo jak nie tracimy, biorąc złudzenie za rzeczywistość.

Przed laty, kiedyśmy sobie w y o b r a ż a l i, że ziemia stała, nasze wyobrażenie złudne, nasze złudzenie było rzeczywistością.

Jeżeli nasze złudne wyobrażenie mogło być rzeczywistością, równie dobrze i nasza prawdziwa rzeczywistość może być złudzeniem.

Gdyby ktoś miał tak dzielną wyobraźnię, żeby sen mógł uważać za rzeczywistość, dla tego rzeczywistość sama byłaby snem.

Jeżeli istnienie, jeżeli życie uważać za rzeczywistość, natenczas śmierć musi być złudzeniem.

I naodwrót. W kim życie jest tylko pozorem, złudzeniem, dla tego śmierć będzie jedyną prawdą.

Ażeby uniknąć prawdziwej śmierci, należy się wyzbyć złudnego życia.

A złudnem życiem jest niewiara w rzeczy inne poza rzeczami dotykalnemi, widocznemi dla fizycznego oka,

Dzień i noc, światło i ciemność, życie i śmierć — to atrybuty ziemskie.

Z pod działania ich wyzwalają się ci, którzy mogą, którzy wyrobili w sobie władzę nową, zmysł nowy: żyć przestrzennie, nadziemsko, żyć urojeniem, żyć — myślą.

Tak żyć, to znaczy odrodzić się, to znaczy wyswobodzić się z pęt śmierci; to znaczy stać się tem w stosunku do śmiertelnych, czem stał się w stosunku do czworonogów — ptak; to znaczy odkryć świat nowy; to znaczy nadać nowy obrót życiu; to znaczy opanować, przetworzyć rzeczywistość dotychczas istniejącą i wprowadzić w czyn rzeczywistość swoją własną,

Im ta nasza twórczość będzie większa, tem istniejąca rzeczywistość zmaleje, aż wkońcu zniknie.

Przestaną ludzie w nią wierzyć.

Jedyną rzeczywistością nową stajemy się MY.

III.

Niegdyś ludzie wierzyli, że ziemia nieruchoma, kiedy naprawdę my dziś wiemy, że się obraca.

Ale obracała się i wówczas.

Tylko przodkowie nasi łudzili się jej nieruchomością.

A my dziś łudzimy się jej obrotem.

Bo naprawdę któż w i d z i obrót ziemski?

Złuda. Złuda.

Złuda naszych przodków była dla nich prawdą.

Nasza prawda dzisiejsza była dla naszych ojców złudą.

Wierzymy w złudę, która przeczy naszej oczywistości.

A więc rzeczywistość może być złudzeniem, i złudzenie może być rzeczywistością.

Złudzeniem można żyć równie dobrze jak prawdą.

Ponieważ prawdy bezwzględnej nie znamy, wszystko, co nie jest tą bezwzględnością, jest złudzeniem.

Chodzi tylko o to, żebyśmy to złudzenie m y tworzyli.

Bo jeżeli wierzymy sobie, to żyjemy rzeczywistością, choćby ona mogła być dla innych złudzeniem.

Jeżeli zaś nie mamy wiary w siebie, to musimy żyć fikcyą, którą nam ktoś inny, bardziej twórczy narzuca.

Bardziej twórczy, to znaczy bardziej uzdolniony do tworzenia złudzeń, bardziej dziecko, bardziej geniusz.

Rzeczywistość — to nasza jaźń dominująca tak silnie, że inni muszą jej uwierzyć i wierzyć.

I ta wiara w nas jest ich rzeczywistością.

Wbrew opinii dotychczasowej, powszechnej, Kopernik postanowił, wymyślił, stworzył, zamiast złudy naszych ojców, swoją rzeczywistość — rzeczywistość dziecka, i uwierzono mu.

Napoleon, zamiast fikcyjnej mapy Europy dawniejszej, określił swoją rzeczywistą mapę Europy, i uwierzono mu.

Wellington przekonał świat, że napoleonowska rzeczywistość była złudą, i uwierzono mu.

Bismark dowiódł, że francuskie cesarstwo łudziło się co do swej mocy, i uwierzono mu.

Czas nas przekona, że chochoł militarny Niemiec to fikcya, i uwierzymy.

Mieliśmy dowody, że pojęcie o mocy pewnych Molochów, to złuda była.

Kapitalizm łudzi się, że świat kręci się koło niego, tak jak dawniej ziemia około słońca.

Łudzi się, ponieważ
krążyć naokoło
zapładniać
czego.

Jak zdobyć ten żywioł? Jak opanować tego Boga? Jak życie stworzyć nowe?

Co to jest morze? Z czego powstaje?

Wiadomo: z rzek.

Rzeki wpływają w olbrzymi zbiornik, gorzkną tam, chłoną w siebie sól, oczyszczają się z brudów ziemskich, układają się w fale szerokie i głębokie; uczą się bezbrzeżności; wchodzą w tajemniczy związek z księżycem; poznają się z katastrofami; zdobywają wiedzę burz i huraganów, przypływów i odpływów; dojrzewają do wyżyn piękna, posiadłszy kunszt świateł i cieni, gry barw, zapachów, wibrowania fal i układania się w nieskończoność linii i wreszcie dochodzą do współbytowania ze słońcem i powierzania mu najczystszych, najlotniejszych swych cząsteczek, aby frunęły w wyż, w przestrzeń, w dal bezmierną.

Tak morze powstaje z rzek.

A rzeka? Z czego powstaje rzeka?

zdobyć rzekę. Z cze-

zarodku.

amie-

ie

Ażeby więc zdobyć niebo, potrzebny jest nam stan duchowny.

Istnieje u nas i dziś taki stan — stan duchowny. Ale ten stan, jak wiadomo, używa sił swoich na zdobycie władzy nie niebieskiej, tylko świeckiej, ziemskiej. Chcąc zdobyć niebo, a następnie morze, musimy trud ten podjąć my sami, sami musimy o tem pomyśleć, my ludzie świeccy, sami musimy rozwijać swego ducha.

Aby zdobyć morze, trzeba zdobyć państwo ducha, trzeba żeby dla nas królem był Duch; trzeba zdobyć państwo Króla Ducha.

V.

Ptak nauczył się fruwać w jaki sposób?

Najniezawodniej w taki sposób, że w pewnym momencie przedwstępnym życia, miał odwagę rzucić się w przestrzeń, w przepaść; że miał odwagę przepaść, i łączył tę odwagę z wiarą, że nie przepadnie; że umiał przepaść, ażeby się odnaleźć w innym, lepszym bycie.

I ta wiara stworzyła go, stworzyła moc jego skrzydeł.

Przypuśćmy, że tę odwagę i tę wiarę mamy; że zdecydowaliśmy się rzucić w przestrzeń, oderwać się od ziemi, zdobyć niebo.

Zdobyliśmy szafirowy bezmiar, przestrzeń nieskończoną — niebo. I tu królujemy duchem.

Czy jednak zdobywszy to niebo, będziemy chcieli wtedy zdobywać morze?

Naco?

Będziemy wówczas tak daleko od ziemi, że już morze nie będzie nas nęciło. Morze z wyżyn nieba

przedstawi się nam, jako jeden, jedyny obłoczek. A w niebie przecież mamy obłoków nieskończoność. A każdy obłok — toć to embryon morza — morze *in abstracto*, morze-idea.

Panujemy nad niebem, to znaczy panujemy nad ideą. O władzę nad jej urzeczywistnieniem ziemskiem, o jej uplastycznienie w materyałach ziemskich, o jej materyalizm już nam nie chodzi.

Zdobyliśmy ideę. A idea to — *id est*, co znaczy TO JEST, co znaczy to co istnieje, co znaczy — WSZYSTKO.

Zdobyć ideę znaczy zdobyć wszystko.

A więc i słońce?

I słońce.

Skąd powstaje słońce?

Wiadomo, że słońce powstaje, wynurza się zawsze ze wschodu.

Zdobyć słońce, to znaczy zdobyć wschód.

Wszystkie wiary, wszystko pomyślenie ludzkie powstało, wzeszło ze wschodu.

Ażeby pojąć słońce, należy wpatrzeć się we wschód, patrzeć jak stopniowo zaczyna się życie od zapalających się wyżyn, od głów. Z chwilą gdy się zaczął świt różany, wszystko uświadamia się, wszystko wyraźnieje, wszystko zdaje się mówić zorzanem myśleniem.

Słońce — to myśl.

A myśl — to wszechpotęga.

A potęga ta nie zawiera już pragnień, jeno jest To co jest.

Jest to — idea.

TWÓRCA

Poeta, artysta, wynalazca, słowem twórca, tworzy. Tworzy, to znaczy wchłania w siebie całą dotychczasową życia wartość i tak bardzo ją kondensuje, do takiej doprowadza syntezy, że aż ta staje się iskrą — iskrą nowej wartości, iskrą nowej potęgi, iskrą nowego życia, nową ideą, nowem FIAT.

Ale dotychczasowe życie, ta cała w pracę jednostki wzięta epoka nie daje za wygraną. Ten bierny dotychczasowy byt, tak w mózgu jednego człowieka sprężony — rozpręża się i gotuje zgubę ideowcowi. Biegnie za nim, chwyta go i wyje: oddaj nam swój wynalazek świetlany, abyśmy mogli zapalić nim na naszych kuchniach i rozgrzać nową iskrą twoją nasze garnki.

Daremnie wynalazca odkrzykuje:

— Precz, czekajcie. Dozwólcie niech moja iskra rozgorzeje w płomień nowej wiedzy dla mnie samego, a wówczas ujrzycie, ukażę wam takie horyzonty, że zapomnicie o waszych garnkach i pobiegniecie za mną, nie jak teraz z głodnem, chciwem, zazdrosnem i głupiem zwierzęcem wyciem, ale z pełną radości muzyką i pełnem sercem kochania.

— Nie wierzmy mu — krzyczy tłum: — On nas chce oszukać. On chce swój wynalazek zużytkować dla siebie.

Daremnie wynalazca zapewnia ich:

— Mylicie się. Słuchajcie mnie wy — zjadacze chleba — przemienicie się w aniołów, ale dozwólcie mnie, ażebym tę swoją wynalezioną przeze mnie iskrę nowego życia spotęgował tak, aby stała się promieniem. Wierzcie mi. Ufajcie.

Nie... Nie chcemy być aniołami, chcemy tą ziemią obiecaną być zaraz w tej chwili.

— Szaleńcy. Trzeba przebyć pustynię, przepłynąć Ocean, abyście mogli znaleść to, co ja widzę.

— Nie, my chcemy, aby ta złota, obiecana przyszłość była teraźniejszością.

I tłum, bierny, spożywczy tłum, ma niby racyę. Światło jest na to, żeby świeciło zaraz.

Tylko, że światło z gwiazdy, nieskończenie dalekiej, aby oświetliło nieskończenie odległą od niej ciemną ziemię, musi przebyć pustynię odległości i ocean oddalenia.

Tłum żądający tego światła zaraz, natychmiast, jest w swojem prawie. Prawem jego jest jego ciemność: im większa, tem pożądliwiej światło chłonąca.

Ale i światło ma słuszność, że nie odrazu się daje, że im większy czas upływa pomiędzy wynalazkiem i epoką jego popularyzacyi, tem lepiej dla wynalazku, bo staje się wyrazem niekończoności, wyrazem zaprzeczającym bytowi, który jest tylko koniecznością, tylko skończeniem, tylko tem, co umrzeć musi, tylko śmiercią. Podczas gdy tam — tam, jest tylko życie.

Ale to jest właśnie nieodzownem, aby życie było pożarte tylko przez śmierć, aby minus złączył się tylko z plusem, aby z dwojga n a d stworzyła się jedna

monada; której w dalszym ciągu sądzono jest się rozdwoić.

Wynalazek, jeżeli przedwcześnie dostaje się do tłumu, sprowadza na długi czas cywilizacyjny zastój, czyli konieczność przeżycia tego wynalazku, tego dorobku natychmiast i oddania go na usługi teraźniejszych wszystkich instynktów, niezłagodzonych przez mękę oczekiwania w pustyni i życia wiarą.

Proch oddany zawcześnie na usługi tłumu, posłużył do mordowania ludzi i do udrapieżnienia tylko duszy motłochu, która jest zniszczeniem, zagładą, pożerczością. Bo motłoch, to wielki człowieczeństwa brzuch, olbrzymi kołdun, gigantyczny przewód kiszkowy, spożywczy kanał.

Wynalazek kinematografu przedwcześnie spopularyzowany, posłużył dla dobra ckliwej, dawno w kąt zarzuconej melodramaturgii.

Telegraf bez drutu przedewszystkiem zużytkowują dla celów wojennych.

Tłum przedewszystkiem dba o ulepszenie swoich kiszek, swojej pożerczości, swego niszczycielstwa.

Ale wielka idea, duch wielki, nie da mu się zbytnio temu brzuchowi rozrastać. Wielka idea stanie się tak czystą, że już to brzucha nie będzie rozpęczniało. Brzuch stanie się dla człowieczeństwa niepotrzebnym. Wszystkie ślepe kiszki, wszystkie kiszki wogóle, wszystkie żołądki podwójne, wszystkie grube podgarla, wszystkie guzy tłuszczowe i wszystka słonina ludzkości stanie się zbyteczna. Odpadnie ten balast, przeszkadzający w biegu i całe to ludzkie świństwo przepadnie. Ludzki zjadacz chleba stanie się aniołem.

W jaki sposób się to stanie?

A w taki niestety sposób, że aforyzm o nierzucaniu pereł przed świnie, musi być odrzucony, poniechany.

Owszem; należy właśnie zacząć karmić świnie perłami, aby nie mając nic innego do pożywienia, wkońcu przemieniła się w rzecz pożeraną — w perłę.

Nie przywiązujmy się my, twórcy, zbytnio do pereł. Rzucajmy je garściami, nie skąpmy naszej krwi. Im więcej pereł, tem mniej będą pożądane i to nas w końcu od pożerczości zbytniej zabezpieczy. Wszakże tworzyć, to znaczy działać na korzyść nie swoją, tylko bliźnią, bo — twoją. Pierwiastek tworzę i twoje ten sam: t w. Tworzyć, znaczy działać na rzecz twoją. Twór jest prawie to samo, co twój. Jakaż różnica? A ta, że w wyrazie „twór" jest r (rozum), a w wyrazie twój jest j (jedzenie). Ty jesteś tem, co pożera mój rozum. Ty, brzuchu-kałdunie, działasz przeciwko mojemu rozumowi, niszczysz moją myśl. Ty, mój bliźni, mój brzuchu, mój bracie, mój kałdunie, możesz mię tylko pożerać, a ja mogę i muszę o tobie tylko myśleć.

Ale im bardziej myślę, tem bardziej ty przestajesz być tylko brzuchem. Stajesz się mną, stajesz się myślą i mnie od myślenia o tobie wyzwalasz.

ZŁO I DOBRO

I.

Był sobie pewnego razu człowiek, który, chociaż sam nic nie robił złego, ale zato wiedział o wszystkiem złem, popełnionem i popełnianem przez swoich znajomych.

Taką miał już naturę: o tem co ktoś zrobi dobrego, jak najprędzej zapominał, a w pamięci zatrzymywał jedynie wszystko o nim zło.

Jaką dalibyśmy nazwę temu człowiekowi? Anioł? czy dyabeł?

Trudno rzec.

Nic złego nie robił, jak anioł.

Ale wiedział o wszystkiem złem, jak czart.

Nie miał żadnych złych uczynków, ale miał same złe myśli, bo przechowywał w pamięci samo zło. Dobra cześć o kimś w tej chwili powzięta, zasłyszana, w tej chwili z jego duszy się ulatniała. Kolekcyonował zło.

Był jak śmietnik: sam śmieci nie fabrykował, ale był ich zbiornikiem. Sam nieczystości nie popełniał, ale był ich pełen.

Jeżeli anioł, to nie powinien o złem pamiętać.

Jeżeli czart, to powinien sam zło robić.

Nie był więc ów człowiek ni tym, ni tamtym.

Kimże był?

Był człowiekiem złopamiętnym.

Człowiek złopamiętny i człowiek złoczynny. Jakaż pomiędzy nimi różnica.

Zaprawdę, niema pomiędzy nimi różnicy.

II.

I żył także w tym samym czasie i w tem samem mieście inny człowiek o naturze wręcz odmiennej.

Mianowicie, posiadał tę właściwość, że o złem w tej chwili, skoro je usłyszał, zapominał. Ale niechno tylko ktoś zrobi coś dobrego, o tem już na zawsze zachowywał pamięć.

Sam człowiek ten dobrego nic nie robił. Miał jeno tę własność, że zapominał o złem. Cokolwiek do jego duszy złego wpadło, to rozpływało się, jak para w czystem powietrzu.

Jakbyśmy nazwali tego człowieka? Również niełatwo postanowić.

Anioł — nie, bo nic dobrego sam nie robi.

Czart? Także nie, bo w myśli, pamięci, ma samo dobro, ponieważ o złem zapomina.

Jest tak jak bukiet pachnący, który, choć sam kwiatów nie popełnia, ale jest ich pełen.

Jest pamięcią dobrego, zapomnieniem złego.

Ale pamiętać dobro i dobro czynić, czyż nie są to słowa pokrewne?

A zapominać zło, czyż nie jest uczynkiem dobrym?

Tak jest, zaprawdę.

III.

Żyli tak sobie ci dwaj ludzie, ni to aniołowie, ni to szatani. Aż wreszcie pierwszy z nich, ten który

tylko zło cudze pamiętał, mówi sobie: jestem dobry i sprawiedliwy człowiek, nie zrobiłem w życiu nic złego, ale zato moi znajomi, cóż to za złoczyńcy!

Trzeba ich uzdrowić.

I rozpoczął uzdrawianie swoich bliźnich.

Ale natury swojej nie mógł przerobić, nie mógł zapomnieć, że każdy z bliźnich kwalifikujących się według niego do uzdrowienia, miał jakiś grzech w przeszłości.

Więc zawsze patrzał na tego grzesznika, jak prokurator, którego wszystko-zło widzące oczy mówią:

— Żyj, ale pamiętaj, złoczyńco, że to moja łaska, iż ja ci żyć pozwalam. Używaj swobody, ale wiedz, że jesteś na łańcuchu. Poprawiaj się, ale wiedz, że twoja przeszłość zła jest w moich aktach prokuratorskich, że ją sobie czasem w wolnych chwilach czytam, aby ją mieć w pamięci i aby ci ją w danym razie wytknąć, gdybyś na przykład chciał zhardzieć i naprawdę uwierzyć w swoją cnotę.

Grzeszny bliźni wobec tego nie chciał nawet zaczynać dobrego życia — życia z łaski prokuratorskiej.

Owszem, wolał grzechów sobie przysporzyć, aby pamięć człowieka sprawiedliwego (niby) obarczyć jeszcze nowem złem i na złość jego przewidywaniom odpowiedzieć nową złością.

Chcesz, żebym się poprawił, wyzdrowiał, a wierzysz w moją złość, w moją chorobę. Jeżeli tak, jeżeli wiesz, żem zrobił to zło, to wiedz i o tem i o tamtem jeszcze. Wiedz i zaduś się tą wiedzą zła — tą złowiedzą. Jest to jedyna moja zemsta nad tobą, nad człowiekiem, sprawiedliwość w tem upatrującym, że o wszystkiem mojem złem ci wiadomo.

IV.

Drugi człowiek, ten, który pamiętał jedynie ludzkie dobro, nie potrzebował się zajmować sanacyą swoich bliźnich, ponieważ zawsze miał przed oczami ich dobro, to jest dobro, które ci bliźni popełnili. A któż w życiu nie spełnił czegoś dobrego? Zapominajmy o złem, które ten bliźni zrobił, a wyda się on nam łatwo człowiekiem dobrym.

Zacznijmy uzdrawianie świata od siebie, zapominając o złem, kiedykolwiek przez bliźnich naszych popełnionem.

Ażeby świat od zła uwolnić, ażeby go uzdrowić, musimy zginąć my sami — my złopamiętni, my zła kolekcyoniści, my złowiedni, my patologowie, my złoznawcy, my prokuratorzy, my spowiednicy, my gruntujący życie swoje na istnieniu złego, my — złoczyńcy!

V.

Żyli tak sobie ci dwaj ludzi, żyli. Jeden gromadził cudze zło, drugi zbierał w pamięci cudze dobro.

Zmarli.

Po śmierci, gdy stawili się na Sąd Ostateczny, poczęto ich indagować

— Kto jesteś? — spytał Najwyższy Sędzia pierwszego.

— Ja jestem człowiek nie robiący zła.

— A cóżeś zrobił dobrego?

— Ja nic, ale mój jeden znajomy kradł, drugi zabijał, trzeci cudzołożył.

Przepraszam. Skoro oni zjawiają się na Sąd, zdadzą sprawę ze swoich uczynków sami. Ty coś robił?

— Ja chciałem swoich bliźnich uzdrawiać, ulepszać.
— I kogożeś to uzdrowił?
— Nikogo, ale...
— Dlaczego?
— Nie wiem, starałem się...
— No to ja, Sędzia Najwyższy, powiem ci dlaczego. Ażeby uzdrowić kogoś, trzeba samemu mieć zdrowie, ażeby kogoś zrobić lepszym, trzeba być lepszym samemu; ażeby mógł bliźni nasz uwierzyć w swoją poprawę, musi widzieć i naszą w tym kierunku wiarę, musi wiedzieć, że mu zło nie będzie pamiętanem; musi zacząć żyć od nowa, jak człowiek, który zerwał ze złem, z tem złem, który ty mu wzrokiem swoim i pamięcią złopamiętną swoją narzucasz... Przywiązujesz go do zła, nie żeby go oderwać. — Czyż nie tak?
— .....
— No, to wracaj mi z nieba na ziemię i żyj ty sam inaczej, uzdrów się ty sam. *Cura te ipsum!* Zamiast, cobyś miał złe ludzkie pamiętać, rób lepiej źle sam: zawsze to będzie niejako poprawa ku lepszemu. Gorzej jest zajmować się złem, które popełnił twój bliźni, aniżeli robić zło samemu. Naucz się, że robić zło nie jest znowu tak łatwo, jak się tobie, człowiekowi sprawiedliwemu, zdaje. Zamiast dobra *pozorów* miej *prawdę* złych czynów. Idź i grzesz! Nie jesteś ani aniołem, ani czartem. Miejsca dla ciebie ni w niebie, ni w piekle niema. Idź, wracaj na ziemię i stań się!

VI.

Z drugim delinkwentem była rozmowa inna.
— Kto jesteś? — spytał Sędzia Najwyższy.

— Ja? Ja sam jestem niczem w dziedzinie dobra, bom sam nic dobrego nie zrobił, ale znam wielkie zasługi moich bliźnich. Jeden ratował tonących, drugi wspierał ubogich, trzeci napisał mądrą książkę, czwarty kochał...

— Dość! Nie o twoich bliźnich pytam, jeno o ciebie. Coś robił *ty* w życiu?

— Przebaczałem ludziom zło, nie pamiętałem o złych ludzkich uczynkach.

— Mało. Ty sam jakie masz uczynki?

— Ja sam?... Ja sam?...

— Widzisz. Wstyd ci. Posłuchaj więc. Zbyt dużo zwracałeś uwagi na to, kto coś stworzył dobrego i nie zajmowałeś się stwarzaniem wartości sam. Pamięć twoja była tak obarczona ludzkimi dobrymi uczynkami, uczynkami cudzymi, żeś nie mógł jej z miejsca ruszyć, żeś ociężał, żeś utracił wiarę w dobro własne. Obładowany chciwie wiedzą o tem, co zrobili dobrego inni, ty sam nie zrobiłeś nic. Ruszaj mi na ziemię i zacznij żyć sam dobrze. Wiedz o tem, że na spełnienie jednego prawdziwie dobrego uczynku potrzeba więcej siły, niż na pamiętanie o tysiącu tysięcy uczynków dobrych cudzych. Idź, ty kolekcyonisto dobra, idź i twórz je sam. Zamiast brać życie innych dobre, daj swoje życie dobre sam. Bądź życiem TY!

VII.

Wrócili na ziemię obaj delinkwenci i zaczęli żyć od nowa. Pierwszy, ponieważ miał w pamięci same złe przykłady swoich bliźnich, zaczął żyć sam *źle*.

Drugi, ponieważ tylko rzeczy dobre o swoich bliźkich pamiętał, rozpoczął, wzorem ich, sam życie *dobre*.

SARKAZMY

Czy można powiedzieć o Bogu, że jest cnotliwy? Czy można powiedzieć: Bóg jest moralny?

Same już te zestawienia: Bóg i moralność, Bóg i cnota — wydają się nam czemś świętokradzkiem.

*

Jeżeli kto woła na ciebie: bądź cnotliwy! bądź moralny! — to znaczy, że ten ktoś nie chce, abyś został Bogiem.

*

W każdym człowieku jest utajony Bóg.

Moralizując, negujemy w człowieku Boga.

*

Komu nie wystarcza własna cnota i żąda jej od innych, tego się strzeżcie: zło w nim mieszka.

Ale zło jest także pochodzenia boskiego.

Więc strzegąc się zła, strzeżesz się Boga.

*

Bóg stworzył i grzech. Pocóż się wyzbywać grzechu, skoro to rzecz boska?

*

Jeżeli grzeszę, jestem Bogiem. Ale, jeśli grzeszyć chcę, to już Bogiem nie jestem.

Nie chcę grzeszyć, ponieważ, grzesząc, chciałbym

stać się Bogiem. Pocóż mi chcieć stawać się tem, czem jestem?

*

Bóg stworzył i cnotę. Nie chcę nabywać cnoty, ponieważ nabywanie cnoty jest rzeczą nie-boską. Kto cnót chce nabyć, ten ich jeszcze nie ma, a cnoty są wszystkie w Bogu.

*

Kto stwarza jaką rzecz, ten jej się pozbywa sam. Bóg stworzywszy cnotę, pozbył się jej, stał się niecnotą.

Bóg stworzywszy grzech stał się bezgrzesznym.

*

Bóg, jest zawsze tylko tem, czego jeszcze nie stworzył.

*

Gdyby przyjąć, że Bóg nie stworzył grzechu, jeno cnotę, byłoby to utrzymywać, że Bóg nie jest wszystkiem.

*

Zaprawdę, czy cnota nie wynajduje grzechu, aby się określić, aby istnieć?

Czy grzech nie ma do zawdzięczenia cnocie swej egzystencyi tyleż co i naodwrót?

Im grzech czarniejszy, tem bielsza cnota.

Im grzechu więcej, tem więcej i cnoty musi być, aby życie utrzymało się w równowadze.

Cnota to elektryczność dodatnia, grzech — ujemna, ale oba zjawiska stanowią jedno.

*

Kto zmniejsza grzech, ten uszczupla i cnotę.

*

Pożądana jest czystość, ale nie trwająca wiecznie, inaczej pralnie zbankrutowałyby.

Grzech to brud. Żyć to znaczy brudzić się, czyli grzeszyć.

Ale żyć znaczy też i czyścić się z brudu. Być cnotliwym tak samo stanowi życie. Tak, nawet cnotliwy człowiek ma prawo do życia.

*

Kto nie chce grzeszyć, kto wstrzymuje się od zbrudzenia, ten rujnuje życie, ten obala czyścicielkę życia — kościół.

Aby kościół mógł istnieć, potrzebne są grzechy.

Dla ludzi cnotliwych kościoła nie trzeba.

Więc ci, dla których kościół jest potrzebny, to jest księża i parafianie, są to ludzie niecnotliwi.

I ci co grzech płodzą i ci co z grzechów spowiadają — to jeden dyabeł.

Człowiek cnotliwy, bezgrzeszny — to najzajadlejszy wróg kościoła i księży, a raczej kościół i ksiądz, to najsroższy dla człowieka cnotliwego nieprzyjaciel.

*

Doktór i aptekarz wrogo patrzą na człowieka, który się u jednego nie leczy, u drugiego nie kupuje lekarstw.

*

Kościół i ksiądz, doktór i aptekarz, mają wiarę w to, że nigdy, nie zabraknie grzeszników i chorych.

Kościół i ksiądz, doktór i aptekarz wierzą w to, że nigdy nie zabraknie ludzi tak grzesznych jak i chcących się grzechu pozbyć; tak chorych jak i chcących uzdrowienia. Ale te instytucye nie chcą w to uwierzyć, że może być życie bez grzechu i bez choroby.

Kościół powiada: grzesz, ale przychodź do mnie odgrzeszać się! Brudź się, ale przychodź do mojej pralni.

Doktór powiada: choruj, ale przychodź do mnie leczyć się. Gnij, ale przychodź do mnie po receptę.

Aptekarz mówi: choruj i wyzdrawiaj, ale biada ci, gdybyś chciał wyzdrowieć bez kupowania u mnie leków.

*

Kościół i ksiądz, doktór i aptekarz — to są ludzie wierzący w wieczne na świecie zło, w wieczny grzech, w wieczną chorobę.

A ponieważ jak wierzycie tak się wam stanie, więc gdyby kościół i ksiądz, gdyby doktór i aptekarz żyli zawsze, świat przeistoczyłby się w wieczne zło, w wieczną chorobę.

Ale można pomyśleć taki czas, że ludziom do życia wiara w grzech i w chorobę nie będzie potrzebna.

Nie będziemy ani cnotliwi ani grzeszni, ani zdrowi, ani chorzy.

Będziemy tak, jak sam Bóg: będziemy tem, czem nie jesteśmy.

Kto chce zostać Bogiem, musi być tem, czem nie jest.

*

Nie można stać się Bogiem, nie będąc kimś, ale kto kimś został, ten Bogiem być przestał.

Bóg jest tem, co jest i tem co nie jest — równocześnie.

*

Bądź równoczesny! Bądź jednym czasem o ty, który chcesz mieć pojęcie o tem, czem jest Bóg i czem nie jest.

*

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, jeżeli nie połączą się w tobie jako synteza, to zaprawdę Bogiem nie będziesz.

Ani historyk, ani dziennikarz, ani wróżbita — zaprawdę nie są to ludzie, którychby można nazwać bogami.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość to są rzeczy zamienne.

Przeszłość może być teraźniejszością, na przykład: węgiel kamienny, gleba ziemska, woda, powietrze, ogień — to wszystko przeszłość, którą dziś żyjemy. Sam człowiek, dziś żyjący, jest przeszłością.

Przeszłość może być też i przyszłością: sam człowiek.

Teraźniejszość może być przeszłością: sam człowiek.

Teraźniejszość może być przyszłością: sam człowiek — geniusz uznany po latach.

Przyszłość może być teraźniejszością: gwiazda istniejąca już gdzieś we wszechświecie, ale której światło jeszcze u nas nie zabłysło.

Nakoniec przyszłość może byś przeszłością, na przykład: dziecko, przyszły człowiek jeszcze niewiadomy, ale już zupełnie podobny do rodziców — do przeszłości.

*

Wszystkie zatem kategorye czasu wchodzą w siebie, są zamienne, są czemś różnem i jednem równocześnie.

*

Stać się czasem, to znaczy stać się Bogiem.

*

Ale można poza czas wyjść...

*

Człowiek jest więcej niźli pojęcie, które sam stwarza. Człowiek być może pojęciem, które stworzyło, być może, jego samego.

*

Ale może być jeszcze i ponad to.

* * *

Grzech, słabnąc, staje się dobrem, staje się cnotą. Cnota potężniejąc, staje się złem, staje się grzechem. Bo grzechu i cnoty źródło jest jedno.
Nazwijmy to źródło Bogiem.

A i B

Pewnego razu żyli dwaj młodzieńcy: A i B.

Młodzieniec A dążył do opanowania wszystkich swoich instynktów; młodzieniec B wszystkim im dogadzał.

Jeden życie swoje stosował do pewnej teoryi ascetycznej; drugi teoryę wszelką naginał do swego życia, usprawiedliwiał nią swoje życie rozwiązłe.

Jeden utrzymywał, iż jeśli cośkolwiek w naszem życiu nie zgadza się z filozofią, to należy się tego wyrzec i żyć tak, aby myśl ogólna przenikała naszą sferę życiową aż do głębi.

Dla drugiego młodzieńca życie było najzupełniej oddzielone od filozofii. Można — utrzymywał ten młodzieniec — żyć inaczej a mówić inaczej, można być czasem „zwodzonym", można usprawiedliwić wszelkie moje bezprawie, można jednem słowem wszystko, czego się chce.

— Czy nic nie jest w życiu sprawiedliwe lub niesprawiedliwe? — pytał młodzienies A.

— Nic — odpowiadał młodzieniec B.

— Czy można wszystko?

— Można wszystko, z wyjątkiem tego, czego nie można.

— A czego nie można?

— Tego, do czego są niezdolne instynkty.

— Zauważ, bracie, że takie życie twoje, jakie głosisz, możebne jest tylko wówczas, jeżeli ja wyznaję etykę wręcz odmienną, albo lepiej mówiąc, jeżeli ja jestem człowiekiem z etyką, a ty jej nie masz.

— Ja etyki nie potrzebuję. Każdy mój czyn ma swoją własną etykę.

— Więc gdybym i ja wyznawał ten sam pogląd, czy pozwoliłbyś mi żyć na świecie?

— Ależ ile chcesz. Żyj, używaj, jak pies w studni, jak ja. Tem mi będzie przyjemniej.

— Zgoda.

Minął czas jakiś.

Młodzieniec B posiadał kochankę śliczną, przez siebie wyhodowaną i zazdrośnie strzeżoną dziewczynę.

Zazdrośnie strzeżoną!

Pozwalał innym żyć jak im się podoba, a dziewczyny swej strzegł? Więc innym jej nie pozwalał jednak! Więc pozwalał i nie pozwalał?

Tak. Żył zgodnie z sobą: inaczej mówić, inaczej działać.

Ale strzegąc tak swej kochanki i będąc jej nieodstępnym, stał się wkońcu jej nudnym.

Ażeby ją rozerwać, zaczął opowiadać jej o swym przyjacielu A i o jego dziwnym, głupim ascetyzmie.

Ascetyzmie? A więc to zupełnie coś innego, niż widziała w mężczyźnie dotychczas. Warto tego spróbować.

— Poznaj mię ze swoim przyjacielem.

— Jeszcze czego?

— Jesteś zazdrosny?

— Jeszcze czego?

— No, to ja się poznam z nim sama.

— Jeszcze czego?

Młodzieniec B żartował, ale dziewczyna nie żartowała.

Poszła do młodzieńca A i odrazu, nim zdążył się obronić, przylgnęła doń ciałem i rozpłomieniła w nim żądze.

— Co robić? — myślał młodzieniec A. — Jeżeli ulegnę, to postąpię wbrew swojej teoryi życia, nakazującej mi wstrzemięźliwość, ale jednocześnie przekonam tego zarozumialca B o niesłuszności jego zapatrywań na życie. Odebrać mu kochankę, to znaczy sprawić mu ból, ale jednocześnie przekonać go, że nie powinniśmy żyć instynktami. Tak, jego naprowadzam na dobrą drogę, ale sam ze swojej dobrej drogi zbaczam. Co robić? Boże, co robić?

Bóg, gdyby go był wówczas słyszał, czy wysłuchał, toby mu poradził: wytrwać przy swojem. Kto sam w coś głęboko wierzy, ten nie potrzebuje o tem przekonywać innych, a raczej przekonywa ich tem brakiem chęci przekonywania ich.

Ale Bóg nie słyszał wezwań młodzieńca.

Nie słyszał dlatego, iż były mówione cicho, bardzo cicho.

A były mówione cicho, bardzo cicho, ponieważ dziewczyna była śliczna, bardzo śliczna.

Wzywał młodzieniec pomocy boskiej, ale w duchu życzył sobie, żeby nie nadeszła.

I nie nadeszła.

I upadł.

I zdradził przyjaciela.

Spotkali się w czas potem. Przyjaciel B na powitanie serdeczne A, umknął mu ręki.

— Com ci zawinił? — rzekł A.

— Podły! Zwierz!

— Jakto? Czyż nie należy iść za głosem instynktów?

— Tak, to mnie wolno. Ale ty?

— Więc twoje szczęście polegało jedynie na tem, żem ja nie chciał być szczęśliwym. Ale gdym ja zapragnął szczęścia, twoje szczęście prysło. Widzisz.

— Zdradziłeś mię!

— A ty, czyś mnie wprzód jeszcze nie zdradził, zanim ja swoje szczęście poznałem? Czyś, uwodząc tę dziewczynę przede mną, zapytał się własnego sumienia: a może ona przeznaczona innemu? Tyś mię zdradził. Wet za wet.

— Jakto, więc gdy mam przed sobą zdobycz, to będę czekać, aż ktoś tam zechce się za nią obejrzeć. Głupstwo!

— A więc nie skarż się, żem i ja postąpił tak jak ty: mając przed sobą zdobycz, zdobyłem ją, nie pytając, czy ktoś tam będzie nad tem cierpiał.

— Więc ty stałeś się mną?

— Niestety, jak widzisz.

— No, to mnie nie pozostaje nic, jak zostać tobą.

— Dobrześ wybrał, bo ja jestem teraz człowiekiem najszczęśliwszym z ludzi.

— Dzięki memu nieszczęściu.

— Nie, dzięki m o j e m u, bo ażeby zostać szczęśliwym, zginąłem.

— Nie zginąłeś, bo stałeś się mną.

— A więc podaj mi rękę, jak bratu.

I młodzieniec A i młodzieniec B podali sobie ręce.

DWIE METODY

W Chinach istnieje przedziwny zwyczaj, a mianowicie. Lekarz opłacany bywa tylko za ten czas, w którym jego pacyent zdrów; za czas choroby lekarz nie pobiera nic. Jakie to ma skutki, łatwo zrozumieć.

Lekarz chiński musi dokładać wszelkich starań, aby pacyenta utrzymać przy zdrowiu. Naukę lekarza chińskiego stanowi nauka o zapobieganiu chorobom, czyli *nauka o zdrowiu.*

U nas jest przeciwnie. Doktorowi płaci się za chorobę, nie za zdrowie. Interesem więc naszego doktora jest krzewienie i podtrzymywanie w nas nie-zdrowia. Główną nauką doktora naszego jest patologia, czyli *nauka o chorobach.* Nasz doktór zna człowieka nie zdrowego, tylko chorego, a jednak wydaje się u nas rzeczą naturalną, że taki nieznający człowieka zdrowego doktór kieruje naszem życiem. Cobyśmy powiedzieli o maszyniście, który zna tylko chore, zepsute lokomotywy? Powiedzielibyśmy, że taki maszynista jest niezdatny do prowadzenia pociągu. A jednak doktorowi patologiście dajemy się prowadzić i jeszcze mu zato płacimy.

Lekarz chiński, przy spotkaniu z nami, przedewszystkiem widzi w nas człowieka zdrowego, dodaje nam otuchy wiarą w nas samych, odpędza wszelką myśl o chorobie, obraca chorobę naszą w niwecz. Le-

karz chiński chorobę naszą zwalcza sam, on sam się z nią rozprawia, on sam swojem dobrem o nas mniemaniem nas uzdrawia. Uzdrawia nas tak samo, jak powietrze czyste i słońce, które przez sam fakt, że ktoś w czystem powietrzu i na słońcu jest, robią kogoś czystym, powietrznym i słonecznym.

U nas naodwrót.

Nasz lekarz, patrząc na nas, przedewszystkiem stara się upatrzeć w nas jaką chorobę, taką mianowicie, od jakiej sam jest specyalistą, Nasz doktór chorobę, patologię swoją nam zaszczepia. Zabieg naszego doktora o nas polega na tem, że chorobę, którą nas zaraził, mu musimy sami swoim organizmem zwalczać, a on się temu spokojnie przygląda, będąc pewnym, że im bardziej z nami źle, tem bardziej my ze strachu będziemy w jego potęgę chorobotwórczą wierzyli i tem więcej będziemy mu płacili. Nasz doktór swoją własną chorobę, w której jest specyalistą, nam zaszczepia i wiarą tą w naszą słabość zdrowie nam podkopuje.

* * *

Przypominamy sobie mniej więcej wszyscy takie spotkania.

Z psychiatrą.

— A, dzień dobry! — mówi on.

— Dzień dobry! — mówimy my.

Mówimy i spoglądamy psychiatrze w oczy. W oczach tych najwyraźniej widać świderek przewiercający nasz mózg i badający nasz „dzień dobry".

On, doktór, powiedział: „A, dzień dobry". — My odpowiedzieliśmy tylko: — „Dzień dobry", bez „A"— Dlaczego? Skąd ta nierówność? ta nieodpowiedniość

ścisła? Czemu przypisać to zboczenie? Hm. Stan nasz widać nie jest bardzo normalny. No, no, czy prędzej czy później dobrze byłoby mieć go na swojem podwórku, jako pacyenta.

Tak mniej więcej myśli nasz doktór.

— A więc do widzenia, kochany panie! — mówi.

— Do widzenia! — odpowiadamy i jesteśmy pewni, że doktór, odchodząc, rozmyśla sobie: — Dlaczego on u licha powiedział tylko: — „Do widzenia", nie dodając — „A" i — „Kochany panie?" Coś w tem jest.

Tak. Coś w tem jest.

Spotykamy doktora od płuc.

Pierwszy odruch wzrokowy takiego specyalisty jest w kierunku naszego organu oddychania. Zdaje się, że doktora oczy nie patrzą na nasze piersi, ale je opukują. I opukują wcale nie w nadziei znalezienia w nich zdrowia, lecz z wszelką pewnością doszukują się w nich suchot. Splunęliśmy, i oto już wzrok doktora biegnie w kierunku naszych plwocin, w tem przewidywaniu, że to zwitek bakcylusów, któryśmy wypluli. Co za szkoda! Takby to wpłynęło na rozwój w naszych płucach kultury suchotniczej. No, ale jest pociecha, że nie dziś, to jutro, czy prędzej, czy później zawiniemy, jak skołatany statek, do jego kliniki, do doku.

— A więc do widzenia, kochany panie — mówi on,

— Do widzenia — mówimy mu odruchowo, ale w tejże chwili poprawiamy się i wołamy za doktorem:

— Żegnamy, żegnamy kochanego pana, choćby na zawsze. Wolelibyśmy, abyś się pan z nami spotykał, gdy jesteśmy zdrowi. Masz być dla nas tylko

zwiastunem choroby, to lepiej, że się nam nie pokażesz na oczy zupełnie. Żegnam.

Doktór usłyszał nasze „żegnam" i myśli sobie.

— A co? Powiedział „żegnam", więc rozstaje się ze światem — z nami. Zawsze mu przepowiadaliśmy ten koniec.

Spotykamy doktora od uszu.

Przedewszystkiem taki doktór mówi do nas tak, jakby nam chciał porozrywać uszne bębenki. Przywykł do tego podnoszenia głosu przez obcowanie z głuchymi i ten swój nawyk chorobotwórczy stosuje do wszystkich. I gdybyśmy się z nim znali dłużej, z pewnością takby na nas oddziałał, że musielibyśmy się u niego leczyć.

— Żegnamy, żegnamy kochanego doktora.

— Do widzenia! Do widzenia! — mówi kochany doktór takim głosem, jakbyśmy już ogłuchli, albo znajdowali się odeń o milę.

Spotykamy się z doktorem oczów, gardła, nosa i innych organów. Ta sama historya. Każdy, jak wróg usiłujący dostać się do twierdzy naszej, jest pewien, że *à force de forger* uda mu się zrobić w nas wyłom w tym punkcie, który jest jego specyalnością.

Bo trzeba żyć.

Dlatego, aby on, doktór, mógł żyć i być zdrowym i szczęśliwym, my chorzy, musimy chorować, być pacyentami, to znaczy cierpieć i umierać.

Wprost przeciwnie, niż w Chinach.

Tam, jeżeli chorujemy mu, pacyenci i umieramy, to i doktór jest na brak dochodu chory i wkońcu z wycieńczenia w tym kierunku umiera. Jego zdrowie jest naszem zdrowiem; nasza choroba jest jego sła-

bością; nasza śmierć — jego upadkiem. On, doktór, jest tak ściśle z nami zjednoczony, że stanowi jakby nasze *alter ego.* Nie tak, jak u nas, gdzie my, chore subjekty, jesteśmy dla niego, dla doktora, tylko objektem patologicznym, ciekawym naukowo i cennym monetarnie.

O jakże to daleko od kultury chińskiej, gdzie doktór istnienie chorego człowieka uważa za zjawisko dla siebie niepożądane, za objaw, któremu należy zapobiedz, usunąć go, usunąć stan chory i natomiast ustanowić zdrowie. Bo tylko przy naszem zdrowiu jemu, doktorowi, jest zdrowo; tylko gdy my jesteśmy chorzy i on choruje.

A u nas doktorowi jest bardzo, bardzo smutno, kiedy my kwitniemy szczęściem.

Boć przecie, gdyby w nas nie było grzechów, oni — znawcy grzechów, grzecho-znawcy, pekkatolodzy byliby niepotrzebni. Biada im, jeżeli w nas zamieszkała cnota.

KOMETA

MOTTO:

Astre errant, décrivant autour du soleil une ellipse dans des orbites très *excentriques*.

Larousse.

Od dawien dawna toczy się o to spór, czy kometa jest rodzaju męskiego, czy żeńskiego. Czy *ten* kometa? czy *ta* kometa?

Nic dziwnego. Jeżeli kometa może wywołać zamieszanie w stosunkach kosmicznych, to nietrudno temu niebieskiemu ciału i do spokojnych, statecznych reguł gramatyki wprowadzić pewien ferment.

Wyraz *kometa* pochodzi od greckiego *kome* — włosy. Ogon komety inaczej nazywa się warkoczem. Droga postępowania komety jest ekscentryczna, kapryśna. Zdawałoby się, iż te cechy powinny już o rodzaju komety zadecydować. Bo kimże jest stworzenie z warkoczem złotym, rozplecionym i puszczonym wolno w przestrzeń? Jakiż rodzaj może być istoty o ciele świetlanem i ekscentrycznie, kapryśnie postępującym? Czy twór, który swym bezwzględnym, nieobliczalnym rozpędem grozi pękatemu globowi ziemskiemu, bezwarkoczowemu i stateczną orbitę posiadającemu panu, może nie być tworem żeńskim?

Podług gramatyki, wszystkie rzeczowniki z końcówką na A, są rodzaju żeńskiego. Zdawałoby się, że i kometa powinna pod to prawidło podpaść. A jednak jeszcze niezupełnie podpada. Czemu?

Od kobiet należy się wielkie uznanie gramatyce, bo w niej znajdują świadectwo niesłychanego uznania

dla kobiecości. Pierwsza litera, jaką człowiek wymówił i jaką położył na czele swego alfabetu, jest oddana kobiecie, aby była jej końcówką, jej absydą, jej architektoniką, jej kolorem.

Litera A oznacza zdumienie, podziw, zachwyt, oniemienie na widok cudu. Adam, ujrzawszy w raju Ewę, najniezawodniej oniemiał w pierwszej chwili, otworzył usta i mógł wydać jeden tylko okrzyk: „AAA!". Później dopiero z tego okrzyku „AAA!" powstał najcudniejszy poemat — życie, będące hołdem kobiety.

Żaden inny język, poza językiem polskim, tego honoru kobiecie nie oddaje, aby na jej widok wpadać w zachwyt i wołać, jak wobec jakiej cudowności: „AAA!". Francuz i Niemiec ma dla kobiety tylko „EEE!", Anglik wyróżnia ją tylko przez jakieś wężowe syczenie: „szi!" (*she*). Jeden Polak oddał kobiecie początek wszystkiej mowy: *A*.

I odtąd, od tego pierwszego stworzeniowego okresu, wszystko, co się kończyło na *A*, było żeńskie. A więc kobietami zaczęły być następujące wyrazy: stwórca, władca, sędzia, dowódca, arystokrata, poeta, wróżka.

Ale mając sobie oddaną tę niezmierną władzę, kobieta, przez mężczyznę tak ubóstwiona, zaczęła dopuszczać się nadużyć. I stały się żeńskimi rzeczowniki: autokrata, despota, satrapa, bandyta, zdrajca, włóczęga, fantasta, anarchista.

Sprzykrzyło się mężom to rozpanoszenie się kobiet, i nastał przewrót. Atrybuty, które były dotychczas kobiecymi, mężczyzna odebrał kobiecie i wziął je za swoje. Tak, że dziś nikt już nie mówi: ta sędzia,

ta stwórca, ta poeta, ta dowódca, jak było dawniej. Wszystko to jest dziś, niestety, męskie.

Ale, niestety, mężczyzną jest dziś również i: despota, satrapa, bandyta, włóczęga, zdrajca, przestępca. Jeżeli kobietę los dziś wyjątkowo zniewoli do którego z tych fachów, to już musi sobie kobieta przybierać, jako piętno swej kobiecości, literę K, na przykład: bandyt*k*a. A niektóre z tych stanów, dziś mężczyźnianych, nie dają się skobiecić nawet przez ten dodatek. Gdy kobieta zdradzi, nie można o niej powiedzieć: zdrajka, tylko zdrajczyni. Normalnie zdrajcą jest mężczyzna; dla kobiety jest to forma tak wyjątkowa, że gdy kobieta zdradzi, to końcówka jej ulega całkowitemu przeobrażeniu na zdrajczynię.

Są nawet rzeczowniki, niegdyś żeńskie, które się dziś całkiem ukobiecić nie dają, na przykład: sędzia, włóczęga, sknera, kutwa. Tak bardzo sobie te rzeczowniki upodobał mężczyzna sam, że kobietę od nich całkiem usunął. Są kobiety, które się tem martwią, ale to tylko sufrażystki.

Odebrawszy kobiecie sędziostwo, sknerstwo, włóczęgostwo, zdradzieckość; pozbawiwszy kobietę władztwa, dowództwa; stawszy się sam napowrót poetą i stwórcą: mężczyzna dla wynagrodzenia kobiecie tych krzywd, zostawił jej rzeczownik, który, ze wszech miar powinien być męskim, i był nim pierwotnie: MYŚL. Myśl jest dziś własnością kobiecą. Dziś u nas myśli kobieta. Mąż na to dziś nie ma czasu i uważa myśl za rzeczownik mniej ważny, niż *czyn* w postaci sędziostwa, sknerstwa, władztwa, despotyzmu, zdrady i bandytyzmu. Dziś u nas myśli kobieta. Mężczyźnie chce się działać.

Za dawnych czasów, kiedy nie wolno było kobiecie myśleć, to jest włóczyć się po niebieskiej przestrzeni samopas, świecąc ognistym warkoczem i grożąc ziemi zagładą; za dawnych czasów, kiedy występek nieuznawania orbity ziemskiej i wałęsania się po elipsie ekscentrycznej był karany paleniem na stosie; za dawnych czasów, kiedy te wszystkie ekstrawagancye były przywilejem mężczyzny, uznawano kometę za rodzaj męski. Ale dziś, kiedy rzeczownik MYŚL zaliczył mężczyzna niepodzielnie do rodzaju żeńskiego; dziś, kiedy nie-wiasta została raczej wiastą, czyli zwiastunką nowej, lepszej ery; dziś, kiedy jej warkocz złocisty zwiastuje koniec materyalnego ziemskiego świata, a przeto narodzenie się nowego, nadziemskiego okresu: dziś więc kometę zaliczyć należy do rodzaju żeńskiego całkowicie. Odtąd niech t e n kometa będzie z gramatyki wykreślony i niech wejdzie natomiast w całym swoim przepychu świetlanym — t a kometa.

POCZĄTEK I KONIEC

MOTTO:

Eritis sicut Deus...

Genesis, III. 5.

Nakreślmy koło.

Jest to wizerunek bytu. Nie ma początku i nie ma końca. A raczej naodwrót: wszędzie w niem jest początek i wszędzie jest koniec.

Przyjmijmy za początek życia jakikolwiek punkt w tem kole. Tuż zaraz będzie i koniec. Ten punkt jest z jednej strony początkiem życia i jego końcem z drugiej.

Początek ten i ten koniec są w tak wielkiem zbliżeniu, że stanowią jedno, jak wierna i idealna para kochanków.

Ona — początek — jest minusem.

On — koniec — jest plusem.

Świat powstał z niczego i kończy się wszystkiem. Albo odwrotnie: świat powstał ze wszystkiego i kończy się niczem.

Właściwie, pomiędzy wszystkiem a niczem, albo pomiędzy plusem i minusem, lub wreszcie pomiędzy n i m i n i ą żadnej niema różnicy istotnej.

Początek, minus (—) to kreska.

Koniec, plus — to także kreska, tylko przekreślona.

Plus (+) to minus, przekreślony na krzyż.

Minus (—) to jakby jedna z połów plusa.

Dlatego o n a zowie się połowicą j e g o.

Mąż i połowica jego w kole życiowem kochają się początkowo niezmiernie. Kochają się tak, iż w tym idealnym stosunku nie uwydatnia się ani plus jednego, ani minus drugiego.

Jest jeden miłosny, ekstatyczny, rajski, cudowny — punkt.

Alfa i omega, bosko złączone.

Koniec początku, ożeniony z początkiem końca.

Koniec początku jest to przód, a początek końca to także przód. Jest to więc połączenie przodami, połączenie przednie, wyborne, zasadnicze, elementarne.

Ale stan taki przedni nie może trwać.

Gdyby stan ten trwał, nie mogłoby być koła, nie byłoby koła życia.

Koło zaś człowiekowi jest niezbędne. Albowiem życie jest to ruch, a właśnie symbolem ruchu jest koło.

* * *

Zauważyli kochankowie idealni, że ich związek, tak ekstatycznie ścisły, jest właściwie martwotą, jest jakby nudnem tkwieniem na jednem miejscu, które ponieważ stanowi tylko jeden drobny punkt we wszechświecie, mogłoby się nazywać partykularzem jakim, dajmy na to Rypinem, albo Kiernozią.

Miłość, polegająca na zespoleniu się cielesnem — to partykularz, to prywata, to zaścianek, to parafiańska identyfikacya, gdzie mąż staje się podobnym do baby, a żona — do chłopa, gdzie babie rosną wąsy, a chłop jest jak „baba".

Nad taką to przepaścią stanęli pewnego dnia kochankowie idealni i przejął ich lęk.

Serca ich ku sobie ochłódły i rozłączyły się, a za

sercami poszły i ich dusze, i zaczęli patrzeć na siebie z wrogą świadomością.

Gdy byli połączeni jeszcze, stanowili, jako plus i minus, w sumie trzy kreseczki (---). Teraz on, jako mocniejszy fizycznie, zabrał sobie z trzech kreseczek dwie, ułożył je na krzyż i powrócił do swej dawnej męzkiej formy plusa (+). A ona została przy jednej kreseczce i oczywiście musiała pogodzić się ze swem skromnem stanowiskiem minusa (—).

Uświadomili sobie swoją nierówność, jak Adam i Ewa po grzechu i zaczęli patrzeć na siebie z niechęcią i nawet odpychająco.

Co spojrzą na siebie, to pod wpływem niechęci, a czasem i odrazy, wydają się sobie coraz bardziej niepotrzebni, coraz bardziej wrodzy.

W tym stosunku będąc, przestali rozumieć, że są czemś w istocie jednem; stracili wiedzę o tem, że i jednego i drugiego istotą jest: linia, kreska, laseczka, pręcik, sztrych, źdźbło znikome.

Tylko że on ma tych ździebeł dwa, a ona jedno.

Dlaczego ten nierówny podział?

Dlaczego ta niesprawiedliwość?

Dlaczego on ma być władcą zaborczym? Dlaczego on ma się pysznić tryumfem? i dlaczego jej wypadł los być poddaną, być ujemnością i płakać?

Zapomniała ona, iż równość i zgoda pomiędzy nimi możliwa jest w takiem tylko połączeniu, że oboje mają po kresce jednej, a środkowa kreska jest dla obojga ich wspólną:

Lecz niech tylko jednia ta się zakłóci, już albo on musi mieć dwie kreski, a ona jedną, albo ona dwie.

Chociaż wtedy o n a będzie tak, jakby nim. Krzywda zostanie krzywdą, niesprawiedliwość niesprawiedliwością.

* * *

Tak skończyło się ich życie przednie. Odpychani wzajemną niechęcią, zaczęli się z rozkosznego poprzedniego stosunku wycofywać.

Nienawidzą się i cofają tak i cofają od siebie po linii koła życiowego, aż stanęli oboje w kwadrach, to znaczy oboje cofnęli się do połowy odnośnego półkola.

Dla uwyraźnienia ich sytuacyi, dobrze będzie nakreślić poniższą figurę i oznaczyć na niej j ą i j e g o.

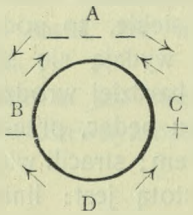

W tej figurze punkt *A* oznacza stan kochanków idealny, elementarny, pierwotny. Plus i minus połączone są w kształt trzech poziomych kresek, które mogą się układać zresztą jeszcze według różnych porządków, a mianowicie:

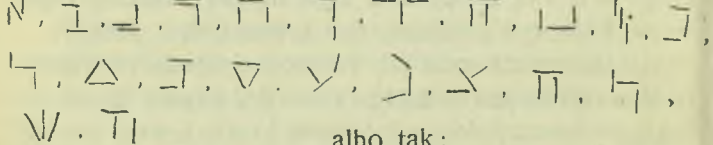

albo tak:

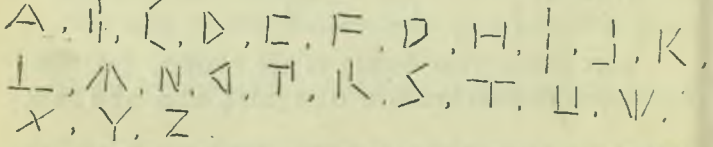

albo tak:

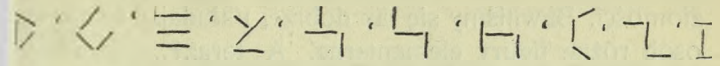

Wszystkie te kombinacye idealnego stosunku nie wystarczały kochankom, ponieważ były elementarne. Odepchnięci od siebie wzajemną niechęcią, znaleźli się: o n a w punkcie *B*, jako minus (—) i o n w punkcie *C*, jako plus (+).

— Ach, nareszcie jestem sam! — powiada o n. — Nie widzę już tej kokoszki[1]), odeszła sobie ta pozioma linijka, ta poziomostka, która mię pozbawiała mojej dodatniości!

A o n a, w swoim punkcie *B* mówi podobnież:

— Nareszcie jestem sama! Zniknął mi z oczu ten brzydal, ten pręcik dubeltowy, ten krzyż pański, który znosiłam.

Tak mówiąc, ponieważ w życiu nie może trwać nic wiecznie i ponieważ początek musi iść, iść (aż stanie się końcem), a koniec musi kiedyś skończyć się (aby wrócić do początku), rozłączeni i cofający się od siebie kochankowie, gdy już stanęli, jako się rzekło, w odpowiednich kwadrach, czyli od siebie najdalej, i kiedy byli w ten sposób najsamotniejsi: uczuli, zamiast spodziewanej ulgi, pewien, dość spory smutek.

— Co ona tam teraz porabia, ta ujemność moja — pomyślał z westchnieniem kochanek. — Co prawda, nie było to grzecznie z mojej strony, żem jej zabrał ten jeden nasz wspólny pręcik, którym się tak chętnie bawiła. Dlaczego właściwie ma być mi lepiej, gdy jes-

[1]) Z punktu *C* rzeczywiście nie można widzieć punktu *B*, ponieważ promień wzrokowy już tam nie sięga.

tem krzyżem, niż kiedym razem z nią trwał w poziomości. Bawiliśmy się tak dobrze, układając ze swych osób różne figury elementarne. A teraz?... Samotny krzyż na rozdrożu jestem! O jakże chciałbym się na nowo z kochanką zetknąć!

Tak mówił on. A ona:

— O gdzieżeś, mój najdroższy! Tak mi było dobrze, kiedyś ty, rozkrzyżowany, to jest rozłożony na dwa pręciki, leżał ze mną; taki był do mnie podobny, i tacy byliśmy oboje do siebie podobni, tacy poziomi, tacy szczęśliwi! Mieliśmy jedną wspólną, nam podobną kreseczkę — nasze dziecko jedyne! O gdzieżeś, mój luby. Takbym się chciała z tobą połączyć i na nowo zewrzeć twój plus z moim minusem!

* * *

Gdy tak biadają kochankowie, siła rozpędu ich cofania się wzrasta coraz bardziej.

Tęsknią do siebie, a muszą się coraz bardziej od siebie oddalać. O ile ich odepchnęła poprzednio nienawiść, o tyle tęsknota przyciąga ich teraz do siebie.

Przyciąga, ale tyłami.

Nienawiść złamała ich życie przednie, tęsknota zbliża ich do siebie tyłem, plecami.

Tęsknią do siebie, zdaje im się, że odbiegli od siebie w nieskończoność, i nie widzą tego, że zbliżają się stroną odwrotną.

Nakoniec zbiegli się, uderzyli tyłem w tył i utworzyli figurę dartego orła, w punkcie *D* (fig.). Dlatego, mówiąc nawiasem, orzeł dwugłowy, czyli darty, jest symbolem związków, których początkiem była naprzód wielka miłość a potem wielka nienawiść. Ale to nawiasem.

Otóż kochankowie, uderzywszy się tyłami, poczuli jakąś dziką, antypodyczną z tego uderzenia rozkosz.

— Ach! jesteśmy znowu razem! — mówiła kochanka. — Czuję cię za sobą! Co za rozkosz!...

— O, więc już skończona męka samotności! — wołał kochanek. — Jesteś za mną! — i dodał po chwili wahania: — Co za rozkosz!...

Niestety, w głosie kochanka było wahanie, ponieważ rozkosz ta była mniejsza już, niźli poprzednia.

Bo jednocześnie z tą rozkoszą, powzięli świadomość, że to nie to, co poprzedni stosunek przodów, co poprzednie życie przodków.

Czują się tyłami, ale oczyma się nie widzą, ustami się nie mogą całować, dotykać czołami, pierś z piersią zwierać, z ramionami ramiona...

Z natury rzeczy tyły są mniej od przodów zdatne do spotykania się i jednoczenia w całość.

W całość jednej istoty o dwóch grzbietach.

Przekrajmy koło na dwa półkola i sprobójmy je zetknąć stroną wypukłą. Spotkanie ich możliwe tylko w jednym punkcie stycznym. Poza tem się rozchodzą. Natomiast półkola te, zetknięte stronami płaskiemi, czyli średnicami swojemi, idealnie się zespolą we wszystkich punktach.

Tak samo i ci kochankowie.

Tęsknota ich do siebie, zamiast być zaspokojoną tem zetknięciem, jeszcze bardziej urosła.

Co tu robić!

Myśleli, myśleli, nareszcie przyszła im do głów myśl taka.

Sprężyli wszystkie siły i podobni napiętym i w ruch

puszczonym sprężynom, tak się tyłami od siebie odepchnęli, że biegnąc, każdy po odpowiedniej półkuli, w punkcie poprzednim *A* złączyli się na nowo przodami i zaczęli na nowo prowadzić życie przednie.

Ale, bogaci już doświadczeniem, nie byli skorzy do rozterek.

Przebaczali sobie dziewięć rzeczy na dziesięć, aby tylko znowu się nie rozłączać.

Ponieważ jednak żaden stan, jak się powiedziało, nie trwa wiecznie, przeto kochankom, nasyconym miłością, zaczęło się znowu cknić.

Plus musiał się rozłożyć, aby stać się podobnym do minusa, zagubił swoją indywidualność. Pragnął więc znowu do niej, do indywidualności powrócić.

Pragnął odnaleźć siebie.

I ona również pragnęła odzyskać swój czysty minus, bez żadnych zapożyczań od plusa.

I odnaleźli siebie takimi, jakimi chcieli — w dzieciach.

On odnalazł siebie, jako młodzieńczy, piękną postać krzyżyka mający, dodatni plusik. Ona, jako młodziutka kreseczka, jako śliczna ujemnostka.

I to samo koło życia zaczęło ich łamać na nowo, tak, jak łamało kiedyś ich rodziców.

Ale przyjdzie czas, że łamanie kołem wykreślone będzie z kodeksów życia, czyli, że ludzie swobodnie będą mogli sobie żyć lub nie żyć, bezkarnie, jak im się podoba; będą mogli żyć lub nie żyć; będą mogli zwierać się z którejkolwiek strony im się będzie chciało i rozwierać. I nie będzie już tęsknoty, ponieważ będą wiedzieli wszystko: dobrego i złego posiądą wiedzę, i ponad zło i ponad dobro wywyższą życie.

POWIEŚĆ
O FAŁSZYWYM RUBLU

I.

Pewnego razu był sobie rubel fałszywy.

Z czego był zrobiony, tego nie powiem, ażeby wam czasem nie przyszła ochota takie ruble fabrykować. Opiszę wam jednak, jak wygląda taki fałszywy rubel, abyście go mogli od rubla prawdziwego odróżnić, nie narażając swego mienia na szkodę i nie służąc za narzędzie oszustom.

Rubel fałszywy za młodu błyszczy się i świeci, nawet od prawdziwego rubla jaskrawiej. Ale wiedzcie, że ten blask przesadny, ten blichtr sztuczny, podrabiany, szybko mija. Rubel fałszywy w krótkim czasie traci tę swoją nienaturalną, chorobliwą, gorączkową, jeżeli tak można się wyrazić, cerę, i przyjmuje postać ołowianą, brudną, plugawą. Ukazuje się tem, czem jest: tandetą.

Rubel prawdziwy, jakkolwiek byłby wyświechtany i zużyty, zawsze ma pewną dobrą minę; zawsze znajdzie się w jego powierzchowności coś, co dowodzi, że zrobiony jest z metalu szlachetnego, nie podlegającego zaśniedziałości.

Tymczasem naskórek rubla fałszywego, nawet jeżeli mu się niezbyt uważnie przyglądać, zdradza zupełny brak drogiego kruszcu. Jest jakby zgasły, jakby był człowiekiem fałszywym, który dopuścił się w życiu

brzydkich nadużyć, który żył nieprawdziwie, oszukańczo, podle, znikczemniale.

Drugiem znamieniem, po którem można rubel prawdziwy od fałszywego odróżnić, jest waga. Fałszywy rubel waży albo mniej, niż prawdziwy, albo więcej; albo nie dosadza, albo przesadza; albo nie doholuje, albo przeholuje albo za chudy jest, albo za tłusty. Brak mu, jednem słowem, tego, co stanowi ciężar gatunkowy rubla.

W trzeci sposób można rozpoznać fałszywego rubla — po dźwięku.

Rubel prawdziwy ma głos o tak zwanem brzmieniu metalicznem, głos pełny, wibrujący, czysty.

W rublu fałszywym struny głosowe, jakby zerwane od przepicia, lub od innych jakichś zdrożności, wydają tylko jakiś stłumiony astmatyczny stuk. Rubel fałszywy gdy nim uderzyć o coś twardego, zdaje się mówić:

— Dajcie mi państwo pokój, bo mię roztłuczecie. Nie wymagajcie, abym wam dźwięczał. — Ołów i cyna dźwięcznie śpiewają tylko w piszczałkach organowych, nigdy w rublu.

Nakoniec subtelniejsi zbieracze monet rozpoznają fałszywość rubla fałszywego przez zapach i przez dotyk, a nawet przez smak. Uliczni przekupnie, którzy nie mają o co rublem stukać, mianowicie nie mając przy sobie tabliczek marmurowych, gryzą rubel zębami i tak go rozpoznają. Ale to już jest biegłość poznawcza, której od was nie wymagamy.

II.

Otóż pewnego razu był sobie taki fałszywy rubel. Przyszedł na świat w najgłębszej tajemnicy — w ta-

jemnicy takiej, jaka otaczać zwykła rzeczy nieprawe, przeciwpaństwowe, zakazane, nielegalne.

Bo rubel fałszywy — to przecież także w swoim rodzaju zamach przeciw-rządowy. To zdrada stanu. Tylko że, o ile jedna wypływa z nienawiści, o tyle druga — z miłości.

Jakiej miłości?

No, miłości do rubla prawdziwego.

Fałszerz dąży po drodze fałszywych rubli do rubli prawdziwych, bo uznaje hasło: cel uświęca środki.

Ten sam sposób zapatrywania ma właściciel niemoralnego zakładu, który (właściciel) zbogaciwszy się, wychowuje córki w klasztorze.

Ten sam sposób pojęć ma złodziej, który nakradłszy rubli prawdziwych, udaje przyzwoitego obywatela, łoży na cele filantropijne, miłosierny jest, szanowny. Wszystko zależy od tego, czy ominął szczęśliwie graniczny pas Scylli i Charybdy, inaczej — Kodeks.

Jest wiele jeszcze kategoryi takich panów, którzy fałszują, co tylko mogą: fałszują historyę, fałszują literaturę, fałszują religię, fałszują patryotyzm, fałszują krytykę, fałszują mleko, fałszują herbatę, fałszują starożytności i nowożytności, fałszują wszystko — dla osiągnięcia prawdziwego rubla.

Ludzie tych wszystkich kategoryi, gdy tak zatrują naokoło siebie powietrze, gdy je zafałszują i w ten sposób się zbogacą — wyjeżdżają potem do wód zagranicznych i udają tam ludzi zupełnie uczciwych — fałszują uczciwość.

O jakże mi was żal, wy fałszerze, wy samym żyjący strachem, aby was nie rozpoznano. Wy, którzy boicie się jasnego wzroku, odróżniającego fałsz od

prawdy; wy, których lęk przejmuje, aby was nie próbować, aby wam się z blizka nie przypatrywać, aby nie być dla was kamieniem probierczym; wy, którzy szukacie tylko ludzi łatwowiernych, naiwnych i niewierzących w podstęp; wy, którzy unikacie światła; wy, którzy mącicie wodę, wy, którzy siejecie niepokój i zamieszanie, aby się przemknąć chyłkiem, nie będąc poznanymi...

Żal mi was!

Kto produkuje fałsz, przez fałsz ginie.

Kto żyje podstępem, z podstępu umiera.

Kto przez zdradę coś zdobył, to przez zdradę traci.

Kto zatruwa, sam będzie zatruty.

Zły środek, do jakiegokolwiekby celu zmierzał, zawsze będzie tylko złem, środek dobry, bez względu na cel, zawsze będzie dobrem.

Zły człowiek, dokądkolwiek idzie, zawsze jest zły; człowiek dobry, dokądkolwiek zmierza, zawsze jest dobry.

Czy chcesz wiedzieć, człowieku zły, jak stać się człowiekiem dobrym? Oto: nie należy mieć w sobie ani ołowiu, ani cyny, tylko same czyste srebro, albo czyste złoto. Zamiast wartość fałszować, lepiej się nią stać.

III.

Czyste srebro i czyste złoto.

Jakie są znamiona tych kruszców?

Metal szlachetny nie śniedzieje i nie rdzewieje. Jakiemikolwiek brudami byłby otoczony; jakimbykolwiek nieczystym podlegał wpływom, nigdy nie traci blasku, poloru i nie zmienia swojej natury.

Złoto i srebro jest jak woda morska: żaden brud jej nie szkodzi. — Z równą chłonnością przyjmuje wszystko w siebie, z niczem się nie miesza, w niczem się nie roztapia, w niczem się nie rozpływa, nie zatraca i przeciwnie wszystko w sobie przeistacza i zawsze zostaje sobą. Zawsze i wszędzie i we wszystkiem odnajduje siebie. Zawsze jest pierwiastkiem szlachetnym.

Złoto i srebro — to istoty umiłowane przez światło, bo światło w ich odbiciu przybiera cudną migotliwość i w zetknięciu się z niemi ujawnia swój wdzięk tajemniczy, swoją duszę.

Nawzajem srebro i złoto w świetle uwydatniają swoją kosztowność.

Tak, jak wszelka prawda. Im jaśniej na nią patrzeć, tem wyraźniej, tem mocniej, blask się jej ocenia.

Przeciwnie, nic tak nie trwoży się wobec światła, wobec jasności, wobec krytyki czystej, jak trwoży się i z lęku dygoce fałsz.

Czy przypominacie sobie grunt bagienny na łąkach? Z wierzchu rośnie trawa i udaje, że ma pod sobą ziemię. Ale kiedy noga, złudzona tą pozorną prawdziwością, zechce się oprzeć na tym fałszywym rublu — rubel się załamuje i wciąga człowieka w błoto.

Wyobraźmy sobie, jak taki grunt bagienny lęka się, aby dość wcześnie nie odkryć jego zdradliwości i fałszu i nie cofnąć się przed nim.

IV.

Przyszedł więc pewnego razu na świat taki fałszywy rubel. Rodzicami jego byli sami mężczyźni, a mianowicie: Szaja Cywert, Uszer Ufrasz i Wigman Herszlik.

Niestety, jak stwierdzają śledztwa, wyrobem fałszywych rubli zajmują się przeważnie starozakonni. Upoważnia ich do tego widać przykładem swym biblijnym Jakób, który oszukał swego brata Ezawa, kupiwszy odeń prawo starszeństwa za miskę soczewicy — za fałszywego rubla. „I pan błogosławił mu". Ale był to pan starozakonny. Dzisiejszy pan sadza za fałszerstwo do kozy. Dzisiejszy pan stracił wyrozumiałość na fałsz. Według dzisiejszego nowego zakonu nie wolno jest sprzedawać fałszywego nabiału za prawdziwy; nie wolno jest kupować od braci prawa starszeństwa za łyżkę soczewicy; nie wolno jest sprzedawać ołowiu i cyny zamiast srebra. Nie wolno.

Szaja Cywert dostarczał materyałów: był to materyalista.

Uszer Ufrasz zajmował się idealnem, możliwie idealnem wykończeniem matrycy rubla i jego odbiciem.

Wigman Herszlik puszczał go w kurs.

Zadanie Cywerta było najłatwiejsze. Trudniejszą sprawą zatrudniał się Ufrasz.

A najtrudniejszą robotę, prawdziwy przedsmak robót ciężkich, które mu groziły, miał wymieniacz Wigman Herszlik.

Los rubla z fałszywego srebra nie jest losem złotym.

Rubel fałszywy nie prosił swych rodziców o życie. Zrodziła go żądza. Dlatego życie jego było pasmem udręczeń i przekleństw.

Wigman Herszlik wsunął go pierwszemu ulicznemu przekupniowi, sprzedającemu tytoń, papierosy i zapałki po nocach.

Przekupień trochę senny, nieco zmęczony staniem

i nocnym, niezbyt wonnym odorem miasta, zapomniał odbyć nad rublem stosownych, zwyczajem przepisanych prób, a mianowicie: nie stuknął nim o coś twardego, nie nadgryzł zębami, nie przyjrzał się badawczo jego reszce i orłowi jako też kantom, nie oglądnął uważnie klienta i — wpadł.

Błąd spostrzegł rano, płacąc tym rublem za kiełbasę w masarni.

Rzeźnik, jako człowiek wywczasowany, nie nerwowy, solidny i rozważny, nie spiesząc się, stuknął rublem o tabliczkę z marmuru i czułym uchem pochwycił fałsz.

Zmrużył jedno oko, a drugiem zerknął drwiąco na przekupnia.

— Idź pan z tem do Banku Handlowego, może tam zmienią.

— Co pan mówi? zły rubel? o la Boga. A niech że go najjaśniejsza frybra!

Temi i tym podobnemi przekleństwami, a nawet i takiemi, które do niczego nie były podobne, ulżywszy swemu gniewowi, przekupień schował fałszywy rubel osobno i odtąd zaczął żyć jedyną myślą: Kogoby na tego rubla oszukać? Komuby tego samozwańca wetknąć?

Na widok każdego pana, który żądał z trzech rubli reszty, serce w nim zaczynało bić żywiej, a głos wewnętrzny szeptał: to ten.

Ale „to ten“ przez długi czas nie chciał się dać „wziąć“ i fałszywego rubla nie przyjmował.

Aż dopiero trafił się jakiś podchmielony birbant, który potrzebował drobnych na dorożkę, i zmienił u przekupnia pięć rubli.

V.

Od birbanta przeszedł rubel fałszywy do dorożkarza, od dorożkarza do pasażera, spieszącego się na pociąg; od pasażera do konduktora w postaci łapówki; konduktor spuścił go w bufecie na którejś stacyi, w czasie wielkiego ruchu przy wódkach i zakąskach; bufetowy wypłacił nim pensyę jednemu z kelnerów; kelner wydał nim resztę pasażerowi, spieszącemu się do wagonu; pasażer wydał go nocnemu dorożkarzowi; dorożkarz wsunął go pewnemu wojskowemu z czerwonym lampasem; wojskowy zapłacił nim komorne; gospodarz dał go służącej, służąca zmieniła go u piekarza; piekarz kupił za niego bilet na kinematograf z żoną i dzieckiem; kasyerka z kinematografu szczęśliwie dała go jakiemuś gościowi, gość i t. d. i t. d. i t. d.

Rubel fałszywy przewędrował tak przez całe państwo rosyjskie, i wszędzie towarzyszyły mu przekleństwa, złorzeczenia i gniewy; wszędzie wzbudzał w ludziach chęć oszukaństwa, i wszędzie wywoływał złośliwą radość, jeżeli się oszustwo udało.

Wszędzie rubel fałszywy zostawiał w ludzkich duszach ślad, jakoby smugę nieczystą, wszędzie starano się go jak najprędzej pozbyć; wszędzie go od siebie wypychano.

Nikt go nie przyhołubił, nie pokochał, nie włożył do woreczka z szacunkiem; nikt go do kasy oszczędności nie niósł; nikt go u dewizki nie nosił; nikt... żadna go cyganka w warkocz nie wplotła, żaden skąpiec nim się nie bawił; żadna go przekupka tłustemi rękami pożądliwie nie głaskała; żadna go dziewczyna

uliczna do pończochy nie kładła; żaden go bank do swego przybytku wpuścić nie chciał...

Wpychali go ludzie jedni drugim pociemku, skrycie, korzystając z zamieszania, z nieuwagi czyjejś, z roztargnienia, z ufności w sprawiedliwość, z nieznajomości monet.

Każdy przygodny posiadacz tego fałszywego rubla modlił się tylko o to, aby dobry Bóg zesłał na bliźniego ślepotę, głupotę, naiwność, dobrą wiarę, kłopot jakiś, zmartwienie, rozpacz, śmierć blizkich, nieszczęście, urznięcie się i nieprzytomność: bo przy tych ujemnych warunkach rubel fałszywy mógł być łatwo przyjętym za prawdziwy i mógł być zmienionym.

W tym niszczycielskim, dżumnym pochodzie rublowi fałszywemu towarzyszyły w postaci duchów niewidzialnych trzy nazwiska:

Szaja Cywert, Uszer Ufrasz i Wigman Herszlik.

VI.

Szaja Cywert sprowadzał materyały.

Uszer Ufrasz pracował nad matrycą i nad odlewem.

Wigman Herszlik pośredniczył, wymieniał „towar".

Szaja Cywert wiedział po czemu cyna; wiedział gdzie można dostać tanio ołowiu; wiedział, gdzie się kupują narzędzia, potrzebne do fałszywej fabrykacyi; wiedział, jak nająć odpowiednie mieszkanie do spraw nieprawych; jednem słowem, część materyalna imprezy polegała na nim.

Uszer Ufrasz był to artysta w swoim rodzaju. Był jednocześnie grawerem i giserem. Przygotowywał matryce, rzeźbił wizerunek cesarski i państwowego orła,

wraz z odpowiednimi napisami; wreszcie odlewał monety i nadawał ostatecznie ich fałszywości najmożliwiej prawdziwy wygląd i pozór rzetelnego pieniądza.

Wigman Herszlik brał przygotowaną w ten sposób gotówkę i obowiązany był puszczać ją w kurs. Psychologia, znajomość ludzkiej natury i węch życia były jego specyalnością. Wszystkie te okoliczności, w których człowiek bywa mniej przytomny, w których uwaga jego jest czemś oszołomiona, w których duch jest nieobecny, lub przytępiony, Wigman Herszlik znał, jak przykazania Szulchan Aruchu, czyli żydowskiego Pisma świętego.

Szaja Cywert był materyalistą, metalurgiem i człowiekiem spokojnym i uczciwym. On stykał się z władzami cyrkułowemi; na jego imię był wynajęty lokal; jemu podwyższano komorne; on godził służbę, którą była zresztą nieliczna i składała się tylko z kucharki, cokolwiek ślepej i trochę głuchej i tak dobranej, aby ciekawością nie grzeszyła.*) On, Szaja Cywert, reprezentował „firmę“ i był niby właścicielem sklepu ze starożytnościami. On, Szaja Cywert, układał w oknie wystawowem różne stare rupiecie, jako to: numizmaty, bronzy, poodłupywane od mebli stylowych; lichtarze, świeczniki z bożnic; jakieś flety zużyte z pożółkłą kością; jakieś mandoliny, brudne, podobne do wielkich zgniłych gruszek; jakieś skrzypce, niby stradivariusowsko stare, a właściwie tylko wyświechtane i popsute tandetne pudła; dalej były w oknie lornetki

*) To wygodne, dobre stworzenie nazywało się Michalina Kochańska. W aktach sądowych, z których te dane czerpaliśmy, stało jeszcze, że była wyznania chrześciańskiego i narodowości polskiej.

o szkłach zaślepłych starością; wachlarze z dziurami i z jakiemiś malowidłami z epoki Ludwików i Cesarstwa; koperszłychy, jakieś obrazki; wreszcie cały szereg wytłuszczonych i nikomu na nic niepotrzebnych książek. Wnętrze sklepu zawierało takie same objekty, jeno w gorszym gatunku. Cały ten śmietnik był szyldem, był parawanem, był pokrywką starozakonnego fałszerstwa, a nad parawanem tym miał pieczę Szaja Cywert, gruby, brodaty, poczciwy starożytnik.

VII.

W głębi mieszkania, w pokoiku, którego drzwi pokryte blachą, stanowiły wejście, jakby do kasy ogniotrwałej, siedział i pracował Uszer Ufrasz.

Był podobny do jakiegoś świętego anachorety.

Twarz blada, z odcieniem aż zielonkawym; czoło duże, ocienione zaroślami włosów czarnych, bujnych jak u zwierząt; oczy ciemne, jak woda na gruncie bagiennym, ciągłem ślepieniem zmęczone, w okularach; ciało długie i chude, we dwoje zgięte; kształt rąk o palcach nitkowato cienkich, przypominał rozgałęzione korzonki i chwytaczki roślinne.

Patrząc tak na tę postać unieruchomioną przy robocie, zdawać się mogło, że to jakiś trujący, dziki krzew, który zamiast owoców, rodzi fałszywe ruble.

Uszer Ufrasz pensyi od wspólników nie pobierał prawie żadnej. Pracował dla idei, za liche utrzymanie. Był to prawdziwy artysta, aczkolwiek wyrabiał tylko fałszywe ruble.

Doszedł bowiem Uszer Ufrasz do tych już wyżyn oderwania, o których marzą wszyscy ideowcy, miano-

wicie nie oglądał się ani na owoc czynu, ani na nagrodę, ani na pochwałę, ani na naganę. Robił swoją rzecz i wystarczało mu wewnętrzne poczucie, że spełniał swój obowiązek, swoje posłannictwo życiowe: dostarczać braciom swoim, Cywertowi i Herszlikowi, fałszywych monet z możliwie idealną podobizną cesarskiego oblicza, dwugłowego orła i napisu, że ta właśnie mieszanina cyny i ołowiu jest: jeden rubel srebrem.

Jedyną, najwyższą rozkoszą dla Uszera Ufrasza było to, kiedy po skończonej robocie oddawał się marzeniom. Marzył o wyższem w swojej karyerze stadyum; marzył — o tym mianowicie zbiegu szczęśliwych okoliczności, który pozwoli mu wyrabiać fałszywe pięciusetrublowe banknoty.

Trochę papieru, trochę farby, trochę cierpliwości, trochę pracy, trochę strachu, trochę szczęścia i człowiek oszukał świat na pięćset fajgli. Co za rozkosz! Ile to będzie z tego gewałtu! ile przekleństw! ile żółci się uleje! ile pisaniny po bankach i urzędach śledczych! ile rozpaczy oszukanych! ile podejrzeń, ile nieufności pomiędzy ludźmi stąd! ile bratobójczych waśni pomiędzy gojów się ponarzuca i narozpala! jak jeden drugiemu nie będzie wierzył! jak jeden w drugim będzie upatrywał oszusta! jak będzie jeden czatował na moment dobroci drugiego, aby go wyzyskać, nabrać, oszwabić, podejść!... Co za rozkosz!

Co za upojenie!

A skąd to upojenie? Kto mu je dał? Dzięki Bogu nikt. On sam, dzięki Bogu, ma taki talent, on jest taki artysta z Bożej łaski, taki wybraniec z wielu, taki pomazaniec Boży, dla którego zrobić pięciusetrublówkę

fałszywą, to to samo, co splunąć. I on pluje sobie. On sobie siedzi za drzwiami obitemi blachą, jak jaka świętość, on — Uszer Ufrasz — i pluje. I to, co on napluje, to zbiera Wigman Herszlik i wymienia na czyste złoto.

Czy to nie rozkosz?

VIII.

Wigman Herszlik wymienił.

Na pozór łatwą jest rzeczą rubla fałszywego wymienić. Kładzie się go na ladę sklepową i czeka reszty; albo daje się go komuś do ręki i również spokojnie stoi się, aż nam ktoś resztę wyda.

Byłoby to rzeczą tak prostą, gdyby ludzi, biorących do ręki fałszywego rubla, jakiś głos wewnętrzny nie ostrzegał i nie mówił im, że ten szarawy krążek, mieniący się rublem, zawiera w sobie jad fałszu.

Jest rzeczą pewną, że rubel fałszywy ma jakąś specyficzną woń obłudy, podstępu i zdrady; że ta woń, którą został nasycony w laboratoryum Szai Cywerta i Uszera Ufrasza, a której nie neutralizuje bynajmniej swem dotknięciem Wigman Herszlik; że ta woń, podobna do wyziewów antypatycznych nam ludzi, odstręcza i ostrzega.

Tę subtelną zdolność percepcyi Wigman Herszlik zna i wie, w jakich stanach jest ona ludziom właściwą.

Człowiek spokojny, uważny, niczem nie skłopotany, człowiek, którego ani zbytnia uciecha nie rozbałwania, ani któremu zmartwienie żadne nie odbiera pogody; człowiek, którego mózgu i nerwów nie prze-

żera alkohol; człowiek, którego brzuch nie ześrodkowywa w sobie całej siły organizmu; człowiek, który nie zbliża się układem istoty swej do pewnych stworzeń, chłonących otworem jamy ustnej, wszystko, cokolwiek im się nawinie; człowiek przytomny; człowiek nie podległy roztargnieniu; człowiek, który w danym momencie jest wszystek; człowiek, którego świadomość nie błąka się samopas; człowiek czujny i bystry; człowiek, który widzi: — taki człowiek jest dla Wigmana Herszlika postrachem; takiego człowieka Wigman Herszlik z oddali czuje i takiego unika.

Taki człowiek jest dla Wigmana Herszlika trefnym, nieczystym i z takim człowiekiem stykać się Wigman Herszlik nie lubi.

Takiego człowieka Wigman Herszlik nazywa *par excellence* gojem.

Co znaczy słowo goj?

Odwrotnie czytane to słowo, znaczy jog, t. j. joga. A JOG albo JOGA znaczy, w indyjskim języku, człowieka widzącego, który brzydzi się fałszem, który oczy ma jasne, żądzami nie zmącone, i którego myśl zawsze czuwa.

Wobec takiego człowieka Wigman Herszlik drży i umyka przed nim tak, jak mrok przed światłem, albo jak pasorzyt przed czystością.

IX.

Czy zdarzało się wam kiedykolwiek być w mieszkaniu człowieka biednego? Biednego nie przez brak pieniędzy, tylko biednego przez nieobecność cech, stanowiących jogę, czyli goja?

Łóżko takiego nie-goja to śmietnik; jego bielizna mogłaby się zwać szarzyzną, jego podłoga — deska gnojowa — jego meble — Pociejów.

Takie mieszkanie i jego mieszkańcy — to najulubieńsza siedziba pluskiew, karaluchów, pcheł i tym podobnych odmian biologicznych, biorących życie i patrzących na świat tylko z jednej strony, a mianowicie, uważających go za pewien rodzaj dla siebie żeru, pożytku i nie dających mu nic wzamian.

Krokodyl pożera bydło i ludzi, ale z niego jest piękna skóra na walizy i portmonetki.

Wilk zjada owce, ale dostarcza światu wilczur i ładnie wygląda wypchany w muzeum.

Lew pustoszy okolicę z mięsodajnego zwierza, ale jakaż wspaniała z niego kapa na łóżko, lub dywan przed łóżkiem.

Tak samo tygrys, lampart, pantera.

I jeszcze jedną ludziom te drapieżniki zapewniają uciechę, rozkoszą jest na nie polować, odwagę ćwiczyć, męstwo, zdrowie.

Kiedy tymczasem jedyna rzecz, jaką daje ludziom za możność opijania się ich krwią Wigman Herszlik, Uszer Ufrasz i Szaja Cywert — to odraza, wstręt, choroba i skażenie czystości.

Pluskwa najumiłowaniej trzyma się ludzi tak zwanych pobożnych, mających na ubogich swoich ścianach dużo świętych obrazków. Te święte obrazki — to siedziba pasorzytów. Za dnia chowają się tam, odbywają schadzki miłosne i sprawują konszachty i zmowy przeciwko ludziom, obdarzonym krwią; w nocy wyłazi ten naród płaski, fałszywy i niewonny, aby tę krew z ludzi snem znieruchomionych i nieprzytomnych wytoczyć.

Napróżno się zaspaną ręką człek od tych nieprzyjaciół broni: zgnieciony wróg jeden, zastępowany bywa w tej chwili przez dziesiątek innych.

Jedynym środkiem zaradczym przeciwko nim jest czystość, jest „jogizm“ albo „goizm“.

X.

„Goizm“ albo „jogizm“ polega na tem, aby być czystym.

Zmieniać często bieliznę.

Często kąpać się.

Nie wylegiwać się w łożu zbytnio.

Dbać, aby toż łoże nie było tandetne, to znaczy, aby nie pochodziło z antykwaryatu Szai Cywerta; aby nie było ze szparami, z pęknięciami i pozaklejaniami fałszem i obłudą.

I wszelki inny mebel w domu niech będzie prosty, mocny, bez fuszerki i bez pozorów zwodniczych.

Nie mieć na ścianach obrazków świętych, ladajako malowanych, bylejako oprawnych.

Dbać, aby tapety najdokładniej przylegały do ścian, i żeby nie było w nich dziur i rozdarcia.

Wymiatać kurz i pajęczynę.

Nie pluć po kątach.

Nie chować zbytecznych gratów, nie mieć za dużo różnych rzeczy, niepotrzebnych nam, ale trzymanych tylko na to, że mogą się kiedykolwiek nam przydać, a jeżeli nie nam, to naszym wnukom być przekazane w spadku, a to gwoli brania się za łby przy podziale.

Dobro wszelkie, acz niepotrzebne, ale gromadzone na zapas wytwarza — zło i brud; jadło poże-

rane nadmiernie, na zapas, sprowadza zapaszenie się i brzuchów wydęcie; alkohol pity na „zabój“ albo na „zapój“, tworzy szaleństwo i niszczy zdolność odróżniania rubli fałszywych od prawdziwych, i robi wkońcu to, że człowiek staje się ofiarą Wigmana Herszlika.

Powiedziano jest: oddajcie co boskiego — Bogu, co cesarskiego cesarzowi. Dlatego, jeżeli podejdzie do was Wigman Herszlik z fałszywym rublem i będzie go wam chciał dawać do zmiany, wówczas, wskazując na podobiznę cesarską, możecie rzec:

— Wigmanie Herszliku, czyj to portret?

— No, czyj ma być? — powie Wigman Herszlik: — Ja go nie robił.

— Ja nie mówię, że Wigman Herszlik jest fałszerzem pieniędzy, ja tylko zapytuję go, czyj na rublu portret?

— No, Najjaśniejszego Pana.

A więc, mój Wigmanie Herszliku, idź z tym rublem do Najjaśniejszego Pana i niech ci go zmieni na drobne, albo niech ci da z niego resztę.

— No, co to jest? Pan obowiązany przyjąć monetę, kurs w kraju mającą.

— Dobrze, przyjmę tę monetę, ale pod jednym warunkiem. Zrobimy umowę, że za tego samego rubla, który teraz możemy sobie naznaczyć, ty, Wigmanie Herszliku, sprzedasz mi po upływie, przypuśćmy roku, coś wartości rubla? Dobrze? Albo nawet, poco mamy czekać rok? Niech będzie jutro. Dobrze?

— No, pan jest za mądry, pan się nie uchowa.

— Uchowam się Herszliku, uchowam. Uchowam i siebie, i innych od fałszu i nawet uchowam samego ciebie, nawet Uszera Ufrasza, twego brata, a nawet Szaję Cywerta uchowam.

— Co znaczy to mówienie?

— A to, że wam wszystkim trzem wyrabiać fałszywe ruble nie opłaci się, bo się na nich ludzie będą poznawali wszyscy.

XI.

Tak, Wigman Herszlik, Uszer Ufrasz i Szaja Cywert zamienią się w gojów. Będą zmuszeni żyć prawdą.

Szaja Cywert, jako antykwaryusz, będzie dozorował muzeum sztuki starożytnej i nikt tak, jak on, nie będzie umiał odróżniać falsyfikatów od rzeczy oryginalnych, bo niegdyś sam je podrabiał.

Uszer Ufrasz będzie artystą prawdziwym. Będzie pracował nad rzeczami zapewniającemi ludziom artystyczną rozkosz, sprowadzającemi spokój i pogodę ducha i rodzącemi w społeczeństwie dobro, prawdę i sprawiedliwość.

Wigman Herszlik, jako psycholog i znawca ludzkich słabych stron, zostanie wysokim dyplomatą, będzie z misyami pokojowemi objeżdżał dwory i będzie umacniał międzynarodowe prawo, nie będzie pozwalał zawierać silniejszym mocarstwom traktatów zdradliwych na niekorzyść mocarstw słabszych.

Będzie taki czas, że ludzie nie będą się dzielili na Szajów i nie - Szajów, na Uszerów i nie - Uszerów, na Wigmanów i nie - Wigmanów, na oszustów i na oszukiwanych, na fałszerzy i na ofiary fałszu, na pasorzytów i na dostarczycieli krwi.

Szaja Cywert zostanie dyrektorem banku, nie dopuszczającym się podejrzanych spekulacyi.

Uszer Ufrasz będzie naprawdę cyzelował dzieła z bożej łaski.

Wigman Herszlik wymieni sam siebie na walor rzetelny, i sam znajdzie w ludziach wiarę i ludzie będą mu wierzyli.

XII.

Ale ten czas kiedy nadejdzie?

Dziś Wigman Herszlik tylko wymienia fałszywe ruble.

Klienteli szuka pośród ludzi roztargnionych, nieprzytomnych, półsennych, ciemnych, nieczułych i nieczujących, wogóle u ludzi, których uwaga doznała porażenia.

W notatkach Wigmana Herszlika, które nam się przypadkiem dostały do rąk, znajdujemy o ludziach tych następujące, uwagi godne, uwagi, pisane w języku cokolwiek zżargonowanym, ale nie będziemy ich w tej formie tu przytaczali.

Najlepiej — mówi Herszlik Wigman — wsunąć pieniądze fałszywe ludziom, albo ogromnie szczęśliwym — albo niezmiernie nieszczęśliwym. Człowiek szczęśliwy chce utrzymać swoje szczęście i niepokoi się o nie, jest w gorączce, w podnieceniu i nie ma nawet możności sprawdzać reszty z wydanego rubla, a cóż dopiero oglądać, badać, rubla, którego jeszcze się daje. Bo on musi biedz do swojego szczęścia, bo jemu jest pilno, on nie może wytrzymać, on przestępuje z nogi na nogę, on woła: prędzej, prędzej! No, to jemu się daje prędzej.

Człowiekowi bardzo nieszczęśliwemu też jest pilno: onby chciał jak najprędzej ze swego nieszczęścia się wydostać. To on także nie patrzy na resztę, ani nie sprawdza, czy rubel nie fałszywy. No bo, na ten przy-

kład, umarł komuś ojciec rodzony, matka mu umarła, żona, dziecko... Jakże on ma liczyć pieniądze, kiedy on musi płakać? No, tylko sobie państwo wystawcie, czy nie byłby dziwny taki zapłakany po rodzonej żonie, albo dziecku człowiek, który stuka rublem o marmur, albo waży rubla, którego wziął do ręki i na który jego łzy kapią. No, czy to jest możebne? Dlatego takiemu nieszczęśliwemu człowiekowi śmiało można ufać, że nie dopuści się żadnych sprawdzeń i kontrolowania pieniędzy, które mu się wydaje.

Zato kto nie jest ani bardzo szczęśliwy, ani bardzo nieszczęśliwy, to jego trzeba unikać. To człowiek spokojny, on się nie rzuca, on na wszystko ma czas; on sobie i obejrzeć chce rubla, zobaczyć, czy on jest naprawdę ze srebra, on sobie i policzy resztę i zauważy, jeżeli tam mu coś brakuje i... takiego człowieka trzeba unikać, od niego się zysku człowiek wyrabiający trochę podrobione ruble, nie doczeka. To żaden z takim interes. Bez butówby się chodziło, gdyby tacy byli wszyscy.

Na szczęście są inni ludzie, bardzo nieszczęśliwi, albo bardzo szczęśliwi. Nawet więcej bardzo nieszczęśliwi, niż bardzo szczęśliwi. Najnieszczęśliwsi ludzie — to złote ryby dla naszego interesu. Dlatego nasze życzenia są takie: aby wasi ojcowie umierali, aby wasze matki umierały, aby wam ginęły dzieci, aby na cmentarzach waszych brakło miejsc. Chorujcie, trujcie się, strzelajcie się, gińcie jedni, aby po was płakali drudzy i abyśmy im płaczącym mogli podsuwać ruble, trochę podrobione do wymiany.

Tych i tym podobnych uwag znaleźliśmy w notatniku Wigmana Herszlika dużo, dużo, ale nie bę-

dziemy ich streszczali już, — ponieważ notatnik ten nie odznaczał się ani rozkoszną wonią, ani czystością papieru, ani stylowemi zaletami.

Tem bardziej pilno nam na tych powyższych cytatach poprzestać, że sami od siebie chcemy przy tej sposobności powiedzieć kilka uwag, które poczytujemy za dość ważne.

XIII.

Jeżeli ludzie bardzo szczęśliwi i ludzie bardzo nieszczęśliwi jednakowo zatracają zdolność prawdo-rozpoznawczą, to najwidoczniej między wielkiem szczęściem i wielkiem nieszczęściem musi być coś bardzo wspólnego.

Może to są tylko dwa bieguny jednej i tej samej rzeczy? Może nieszczęście — to tylko odwrotna strona szczęścia? Może ten, kto drżał z rozkoszy, musi koniecznie jęczeć z bólu?

Tak, czy owak, faktem jest, iż człowieka bardzo szczęśliwego i człowieka bardzo nieszczęśliwego można określić jedną formułą: i ten i tamten — to człowiek, który wyszedł z siebie.

Człowiek bardzo szczęśliwy i człowiek bardzo nieszczęśliwy, są to ludzie, których w sobie niema.

Człowiek bardzo szczęśliwy jest nie-swój.

I człowiek nieszczęśliwy jest także nie-swój.

Są to ludzie nie swoi, ludzie obcy sobie i obcy nam.

A jako ludzi obcych, można ich — przynajmniej Wigman Herszlik utrzymuje tak — można ich oszukać i oszukiwać.

To są ludzie nieswoi, cóż oni nas obchodzą?

Człowiek bardzo szczęśliwy — to człowiek, który

się ponad nasz poziom wybił, który tak, jakby nas wybił, słusznie więc, jeżeli i my cokolwiek go poturbujemy zapomocą fałszywego rubla.

Człowiek bardzo nieszczęśliwy — to stworzenie przez los bite i dlaczegóż i my nie mamy losowi dopomagać. Los wie co robi. Los — to Bóg. A więc my postępując zgodnie z Bogiem, postępujemy zgodnie i z losem; jeżeli zaś los nieszczęśliwym robi krzywdę, to i nam robić im ją wolno.

Podobno w Grecyi był filozof, który na widok bardzo szczęśliwego człowieka płakiwał, a widząc człowieka w wielkiem nieszczęściu — weselił się. Kiedy go pytano, czemuby to czynił, miał zwyczaj mawiać:

— Nad człowiekiem bardzo szczęśliwym płaczę, bo uważam go za ślepca, zdążającego w przepaść, a którego już ratować za późno; człowiek zaś bardzo nieszczęśliwy pobudza mię do wesela, ponieważ wiem, że albo niezmiernie szczęśliwym był, albo też niezadługo nim będzie. Do szczęścia podobny jest kwiat — kwiat skazany na to, aby zwiądł i umarł; dlaczegóż więc nie mam na widok kwiatu płakać? Nieszczęście, to kwiat umarły, ale umarły dlatego, że po nim przyjdzie owoc; czemuż nie mam się wobec tego weselić?

XIV.

Rządy wszystkich państw myślały już niejednokrotnie nad tem, w jakiby sposób położyć kres wyrabianiu fałszywych pieniędzy?

Kary naznaczać? Roboty ciężkie? Pozbawienie praw?

Wszystko to było i jest używane, a mimo to fa-

brykacya monet fałszywych nie ustaje. Zmieniają się tylko miejsca i osoby, ale sama rzecz jak jest, tak jest.

Cobyśmy powiedzieli o ogrodniku, który, aby uchronić ogród od liszek, chwyta, aresztuje pojedyncze motyle w sieć i pozbawia je praw do życia?

Powiedzielibyśmy, że taki ogrodnik jest bardzo okrutny i bardzo naiwny, że nie powiemy gorzej.

A jednak nieinaczej postępuje państwo.

Skazuje motyle na kary, a fałszywe ruble niszczą ogród, jak liszki.

Co pomoże aresztowanie i karanie jednego fałszerza, a nawet stu, nawet tysiąca, jeżeli samej idei zła nie wyplenić?

Ale jak?

Zanim rozpatrzymy niektóre ze sposobów do tego się nadających, a które życzliwość nasza dla spraw państwowych z głębi pomysłowości naszej wysnuła, to jedno przedewszystkiem możemy rzec: z istniejących środków na wytępienie fałszerzy nieskuteczny jest żaden.

To pewnik.

Zabójców sąd wiesza, a zabójstwo jest!

Złodzieje są zamykani, a złodziejstwo jest!

Fałszerze zsyłani są do ciężkich robót, a fałszerstwo jest!

Pókiż tego będzie?

Czy życie ma się składać tylko z dwóch gatunków ludzi: z przestępców i z ich sędziów?

Czy nie możnaby zła ze szczętem wyplenić?

Wyplenić tak, żeby nikt o tem złem nawet nie myślał. Bo wiadomo, że jeśli kto o czemś myśli, to wkońcu tę myśl wprowadzi w czyn.

Chcąc wykorzenić zło, trzeba je zniszczyć w jego postaci myślowej, w formie idei, w kształcie zamysłu.

XV.

Projekt pierwszy.

Do każdego obywatela, skoro się tylko urodzi i zostanie zapisany do ksiąg ludności, przystawić trzech policyantów, którzyby nie odstępując go ani na krok, o wszystkich jego sprawach wiedzieli, dobre chwaląc, a złych wykonanie udaremniając.

Ponieważ kosztami na ten cel państwo nie mogłoby się obarczać; ponieważ policya żyje z pensyi, a fundusz na pensyę powstaje z podatków, a podatki płacą obywatele: zatem trzech tych aniołów stróżów będzie żywić każdy obywatel sam, to jest będzie ich stołował, kwaterował, odziewał, obuwał i będzie im zapewniał różne przyjemności i rozrywki, biorąc sam w nich udział, jako to: patefon, skromna biesiada z wódką i piwem, dzieła Scherloka Holmesa i inne, stanowi ich odpowiednie.

W tym związku nierozerwalnym, w tem współżyciu nieustannem jednego obywatela z trzema przedstawicielami państwa, ani mowy być nie może o spełnieniu jakiejkolwiek prawem przewidzianej, możnaby nawet powiedzieć prawem przypisanej — zbrodni.

Ten projekt byłby doskonały, ale niestety ma jedną słabą stronę.

Gdyby zbrodnia żadna nie była spełniona, to w cóżby się obrócił sąd? coby robił? — coby się stało z kodeksem, który zbrodnie przewiduje — niemal przepisuje — a tu o zbrodni żadnej nie słychać. Trzebaby

kodeks istniejący skasować i ustanowić inny, gdzieby zamiast wszystkich przewidywań — niemal przepisów — zbrodniczych stały tylko te krótkie trzy paragrafy:

§. 1. żadnych zbrodni się nie przewiduje, (ani nie przepisuje).

§. 2. wskutek tego sądy, więzienia i inne kary kasuje się.

§. 3. tym, których zbrodnie odnoszą się do czasu poprzedzającego ukaz niniejszy, kara darowuje się, a to dla braku odpowiednich urządzeń.

Data.

(Miejsce pieczęci).

Do tak ujemnych i przeciwpaństwowych następstw prowadzący projekt uważamy za nieodpowiedni. Nie przewidywać zbrodni państwo nie może. Zbrodnia potrzebna do jego istnienia.

XVI.

Drugi sposób na to, aby wytępić fabrykacyę rubli fałszywych, jest sposób wolnej konkurencyi.

Fabrykować ruble fałszywe niech będzie wolno wszystkim, bez żadnej kary; owszem, za najlepszy wyrób można wyznaczać premie.

Jaki będzie skutek?

A taki, że zapotrzebowanie ołowiu i cyny na wyrób fałszywych monet tak urośnie, że metale te, dotychczas mało cenne, staną się droższymi od srebra, a może i złota.

Po prostu wyrabianie fałszywych rubli nie będzie się materyalnie opłacało.

Rubel fałszywy stanie się droższym od prawdzi-

wego, ponieważ wyrabianie takiego fałszywego rubla będzie połączone z ogromnem zaparciem się wszelkiej z tego uczynku korzyści, a nawet z ofiarami i znacznemi stratami: będzie rujnujące.

Fałszerz monet będzie uważany za jakiegoś ideowca, za człowieka z poświęceniem, za apostoła, za męża pomnikowego, za bohatera.

Fałszerz monet będzie na takim poziomie, jak dziś odkrywca biegunów, jak jakiś wielki filantrop, jak wódz.

Może dojść do tego, że ludzie zaczną uważać prawdziwe ruble za godne pogardy i potępienia. Ich wyrób stanie się karygodnym.

Nie posuwajmy jednak przypuszczeń za daleko.

Najniezawodniej ustali się taki stan rzeczy.

Rubel stanie się zwyczajnym towarem, który mogą wyrabiać wszyscy.

Ci będą wyrabiali ruble dobre, a ci fałszywe.

Ludność będzie używała takich rubli, jakie się komu spodobają, bezkarnie.

Nie będzie kar za używanie fałszywych rubli, tak, jak niema kary za to, że ktoś chodzi w złych butach, że ma ubranie ze złego kortu, że nie nosi koszul z płótna, jeno z bawełny.

Dlaczegóż państwo nie karze obywateli za to, że wyrabiają na przykład fałszywe perły, fałszywe brylanty?

Tak też i tu, w stosunku do fałszywego rubla, być powinno. Ludzie bogaci będą używali rubli prawdziwych, ruble fałszywe, tak, jak wyroby z bawełny, mogą być pomiędzy ludem biednym. Tam — rzeczy wyborowe, tu — tandeta.

Ale i ten drugi sposób przez nas podany, nastręcza pewne niebezpieczeństwo.

Mianowicie, gdyby pieniądz fałszywy ześrodkował się pomiędzy ludem ubogim, a ruble prawdziwe przeszłyby do bogaczów, mielibyśmy wówczas ustrój kastowy.

Byłyby dwie kasty zupełnie od siebie odgrodzone.

Wrócilibyśmy do czasów zamierzchłej ciemnoty.

Organizm społeczny byłby podobny do człowieka, tkniętego paraliżem.

Nie może w społeczeństwie jedna jego część żyć prawdą, a druga fałszem, bo następuje paraliż.

Jeżeli jedna część społeczeństwa głosi naukę boską, naukę wyrzeczenia się dóbr ziemskich, a sama jednocześnie zagarnia te dobra, których się ktoś wyrzekł, to życie takie jest paralityczne.

Zatem i drugi projekt nie jest odpowiedni.

XVII.

Trzeci projekt polega na tem, żeby państwo przez fałszywego rubla poszkodowanych, wynagradzało; żeby każdy, kto z fałszywym rublem w ręku przyjdzie do odpowiedniej instytucyi państwowej i złoży dowód, że został oszukany, otrzymał rubla prawdziwego.

Takie urządzenie nie powinno nas dziwić.

Wszakże obowiązkiem państwa jest nie tyle karać za zbrodnie, ile od niej obywateli chronić i poszkodowanych wynagradzać.

Niech kogoś zbój zrani, to policyant zanim zacznie chwytać zbójcę, winien opatrzyć zranionego.

Tak też i tu... Skoro państwo nie zapobiegło temu

faktowi, że rubel fałszywy został puszczony w kurs, to przynajmniej powinno dać oszukanemu wynagrodzenie, rubla fałszywego zniszczyć i dopiero zająć się samym fałszerzem.

Ale dotąd rzecz dzieje się przeciwnie.

Państwo, jakby umyślnie patrzy przez szpary na wszystkie te warunki społeczne, które na wyrób fałszywych rubli się składają, a potem łapie fałszerzy, i znęca się nad nimi, skazuje na ciężkie roboty, uśmierca, wiesza.

A w organizmie społecznym fałszywe ruble krążą i krążą i przybywa ich coraz więcej, i krew społeczna coraz więcej zawiera jadu.

I tak nieuchronnie i wolno, ale pewnie, zbliża się zgon społeczeństwa.

A skoro umrze społeczeństwo, skoro wszystka jego krew będzie zatruta przez truciznę fałszu — wtedy i samego państwa może nastąpić koniec.

Państwo, które ma władzę, a używa tej władzy nie na ulepszanie warunków ekonomicznych, nie na rozkrzewianie oświaty, nie na dźwiganie poziomu obyczajów, nie na dbanie o czystość i zdrowotność miast i wiosek, nie na zmniejszenie i usunięcie wyzysku robotnika, nie na przytarcie rogów kapitalizmowi, nie na niszczenie różnych bożków kastowości i ich szamanów; nie na wprowadzanie kultu jedynego prawdziwego Boga, który nie pragnie niczego posiadać, ponieważ jest wszystkiem, który nie dąży do władzy świeckiej pod pretekstem władzy duchowej; bo stoi wyżej ponad wszelkiemi władzami... państwo, które zamiast się temi zajmować sprawami, całą działalność swoją kieruje na prześladowanie i karanie zbrodni;

państwo, którego główną troską jest zbrodniarz; państwo, które jedząc, czy pijąc, śpiąc, czy czuwając, myśli tylko o zbrodniarzu, państwo, w którego myśl i duszę tak wszedł zbrodniarz, tak się zżył z niem, że jednego od drugiego niemal odróżnić niesposób; zaprawdę takiemu państwu grozi zguba.

Jeden jest zapobieżenia tej katastrofie sposób: przyjmować w banku państwowym fałszywe ruble *al pari*.

Ale i ten sposób ma swoje niebezpieczeństwo.

Przy tym systemie wszyscy poddani gotowi nic innego nie robić, niczem innem się nie zajmować tylko wyrobem fałszywych rubli. Ustałby wszelki przemysł i państwo w krótkim czasie zbankrutowałoby.

XVIII.

Jest jeszcze jeden sposób: znieść pieniądze całkiem.

Żyć bez pieniędzy. Wtedy nie będzie można fałszować tego, czego niema.

Czyż nie czytamy w kronikach życia ludzkiego przykładów, że bez pieniędzy żyć można?

Spartańczycy nie mieli pieniędzy innych, prócz kawałków żelaza, stanowiących raczej umartwienie.

Robinson na bezludnej wyspie żył bez pieniędzy.

Za czasów Giordana Bruno pieniądze palono na stosach i jakoś ludzie bez tego żyli.

Ani Spartanizm, ani Robinsonada, ani Giordano-Bruniada nie wyczerpują ideału życia i nie dlatego o tem wspominamy.

Zapytywaliśmy, czy może człowiek żyć bez pieniędzy?

Potwierdzającą odpowiedź dała nam historya.

Mamy pewność, że bez pieniędzy żyć można.

Chodzi tylko o to, jak?

W czasach, kiedy człowiek nie pyta człowieka: co on zacz? co na świecie zrobił? czem się odznaczył? do czego jest zdolny? — w czasach, kiedy się pytają człowieka: ile ma w kieszeni, czy w kasie; w takich czasach, pieniądz jest potrzebny. Mam milion — jestem panem; mam miliard — jestem jaśnie wielmożnym panem; mam sto miliardów — jestem Bogiem.

Co komu do tego, jak te miliardy zdobyte. Czym je odziedziczył: czym je skradł? Czym je zarobił na fabryce rubli fałszywych? Czym je na dostawie tekturowych podeszew dla armii zyskał? Czy na wydawaniu parnograficznych fotografii? Czy na handlu żywym towarem? Czy na utrzymywaniu zakładów, gdzie się ludzie niesłychanie weselą? Czym zbił majątek na wyrobie koszul bawełnianych? Czy zrobiłem go na propinacyi, na szynku, na monopolu wódczanym, na tytoniu? Czy zbogaciłem się na sprzedaży opium, czy zostałem milionerem za tenorowy głos, za biegłość gry na fortepianie, lub skrzypcach, za aktorstwo, za doktorstwo, za sędziostwo, za katowstwo, za zdradę kraju, za handel medalikami i świętymi obrazkami? Czym zyskał mamonę za pobożność, za prawomyślność, za poszanowanie ustroju kapitalistycznego, za opiekę nad sierotami po więźniach, za urządzanie balów na biednych, za filantropię, za dawanie jałmużny, za dobrą opinię w sferach klerykalnych; czym wygrał majątek na loteryi, na pożyczce premiowej, na spekulacyach budowlanych, na przedsiębiorstwach robót publicznych, na tramwajach, na mostach, na koszarach, na budowie kościoła, na dostawach kolejowych i szosowych; czy urosła mi kieszeń na ożenku z wielkim

posagiem, a raczej z panną, mającą wielki posag (przyczem panna może być wielka lub niewielka — to rzecz obojętna); czym zbił fortunę na kradzieży sum narodowego skarbu; na przyswojeniu sobie funduszów korporacyi tajnej; czym się zbogacił na powieściach popularnych, mogących się znajdować na stole każdej przyzwoitej rodziny, która ma na wydaniu skromne panienki; czym zyskał grosz na antysemityzmie, na filosemityzmie, czy zrobiłem go na ekspropriacyach prywatnych, czy na rozbijaniu kas ogniotrwałych, czy na ich napełnianiu (bo niewiadomo, czem się te rzeczy różnią: włamywacz rujnuje kasę, wyciska z niej grosz i puszcza go w życie; posiadacz rujnuje życie, wyciska z niego grosz i spuszcza, chowa go do kasy). Czy zdobyłem pieniądz za zdzierstwo, czy za heroizm; czy za upadek, czy za bohaterstwo? Czy za grzech, czy za cnotę? Czy trafem szczęśliwym, czy umysłem, czy wolą, czy niewolą zdobyłem majątek? O to człowiek człowieka nie zapytuje. On ciekaw jest, ile człowiek ma? na ile się liczy? jaki ma kurs na giełdzie?

W takich czasach, kiedy tylko te są wzajemne ludzi względem siebie wymagania, naturalnie pieniądz jest potrzebny, mianowicie wówczas, kiedy się człowiek wśród ludzi z podobnemi wymaganiami dostanie i czegoś od nich potrzebuje.

Ale można od takich ludzi niczego nie potrzebować i zbliżać się do nich wtedy tylko, gdy się ma im coś do dania.

XIX.

Bez pieniędzy więc można żyć w jakich wypadkach?

1-o. Kiedy ludziom możemy coś dać, nic od nich wzamian nie żądając. Rzeczy te mogą być następujące: dobroć, usłużność, pomoc w wypadku nieszczęśliwym, sprawiedliwość, rzetelność, uprzejmość, cierpliwość, wyrozumiałość na słabości ich; dalej: piękność, zadowolenie estetyczne, dobry humor, dowcip, pogodę, spokój, radość.

2-o. Kiedy człowiek jest sam ze sobą, pieniędzy mu nie potrzeba. Wyjątkiem tu jest skąpiec i sknera, którzy pieniądzmi w samotności się bawią.

3-o. Kiedy człowiek jest ze swoim dobrym przyjacielem, też mu pieniędzy nie trzeba; oczywiście w niektórych razach powinien je mieć przyjaciel.

4-o. Człowiek nagi i będący w kąpieli, także pieniędzy nie potrzebuje.

5-o. Nie potrzebuje pieniędzy człowiek, któremu co tylko usłali ślubne łoże. (W tydzień po ślubie, pieniądz jest już potrzebny).

6-o. Nie potrzebuje pieniędzy człowiek, który spada z balonu, który się topi, którego torturują, którego wieszają i który już umarł.

7-o. Nie potrzebuje pieniędzy człowiek we śnie i człowiek upojony jakiemś marzeniem.

8-o. Nie potrzebuje pieniędzy filozof-cynik, w rodzaju Dyogenesa.

9-o. Nie potrzebował pieniędzy Chrystus ani Budda, ani Sakia-Muni.

10-o. Nie potrzebuje pieniędzy ten, kto je posiada, to znaczy, że jeżeli kto ma kolosalny majątek i o tem ludzie wiedzą, to wywołuje sam ten fakt taką ludzką względem niego ofiarność, że taki bogacz wybornie bez grosza żyć może. Dają mu ludzie wszystko, nawet

nie na kredyt, ale wprost darmo, dla przypodobania się nababowi.

11-o. Może żyć bez pieniędzy ojciec, mający dobre i wdzięczne dzieci żyjące.

12-o. Może żyć bez pieniędzy dziecko, mające rodziców dobrych, pieniężnych i żywych.

13-o. Może żyć bez pieniędzy człowiek, którego wszyscy kochają, a który sam nie kocha nikogo, bo kocha wszystkich.

XX.

Rozpatrując te wszystkie wyż wymienione punkty, dochodzimy do wniosku, że jednak pieniądze są potrzebne.

Bo: 1-o. Nie każdy człowiek może być dobry, wyrozumiały na słabości ludzkie, sprawiedliwy, rzetelny, uprzejmy, piękny, pogodny, radosny, usłużny itd., itd.

Bo: 2-o. Żyć człowiek sam na sam ze sobą nie może, gdyż nie jest to życie, jeno oderwanie się od życia.

Bo: 3-o. Liczyć na to, że wydatki ponosi nasz przyjaciel, tak samo nie rozwiązuje kwestyi.

Bo: 4-o. Nagim człowiekiem (w kąpieli), być można tylko na pewien, krótki czas. Potem się człowiek musi ubrać, a mając na sobie ubranie, musi w niem mieć kieszenie, a mając kieszenie, musi je czemś zapełnić. A nic tak nie napełnia dobrze kieszeni, jak portfel, jak pugilares, jak portmonetka z pieniędzmi.

Bo: 5-o. Ślubne łoże zdarza się człowiekowi raz w życiu, wyjąwszy stany bigamiczne i wdowieńskie.

Bo: 6-o. Nie jest stanem pożądanym społecznie, ażeby człowiek spadał z balonu, topił się, był torturowany, wieszany i żeby umierał.

Bo: 7-o. Bo sen i marzenie jest tylko cząstką życia.

Bo: 8-o. Bo Dyogenes był tylko jeden i może być jeden.

Bo: 9-o. Bo i Chrystusów nie było dwóch, ani dwóch Budd, ani Sakia-Muniów dwóch nie było. A ich wyznawcy? Boże zmiłuj się! Toć wyznawcą Chrystusa jest chyba Ojciec Święty, a ile ten pieniędzy potrzebuje to aż strach!

Bo: 10-o. Chociaż wielki bogacz może dostać wszystkiego na kredyt, ale są takie momenty, w których wypada mu swoje bogactwo czemś ludziom uprzytomnić, aby nie zapomnieli i kredytu nie odmówili. W świętość i nieomylność Ojca Ś-go na przykład, ludzie wierzyli długo. Ale wszystko ma swój koniec.

Bo: 11-o. Nie każdy ojciec ma wdzięczne i posłuszne dzieci.

Bo: 12-o. Nie każde dziecko ma ojców dobrych.

Bo: 13-o. Któż jest pomiędzy ludźmi tym, którego wszyscy kochaliby, a który sam nikogoby nie kochał, ponieważby kochał wszystkich???

Ergo: pieniądze są potrzebne.

Zatem nie można kasować pieniędzy dlatego, ażeby usunąć ich fałszowanie. Nie można niszczyć życia, z obawy, ażeby go nikt nie fałszował.

Środek więc i ten jest nieodpowiedni.

XXI.

Jeszcze jeden projekt.

Przypuśćmy, że do was przyjdzie ktoś, o kim wiecie, że jest człowiekiem uczciwym, szlachetnym, pożytecznym dla ludzi, kochanym, i będzie chciał kupić

od was jakąś rzecz, ale przy zapłacie da wam fałszywego rubla, o którym nawet nie podejrzewał, że jest fałszywy. Czy pomimo to odmówicie temu człowiekowi? Ufam, że nie. Weźmiecie tego rubla, złamiecie go na czworo i wrzucicie w kanał uliczny, i rzecz będziecie uważać za załatwioną. Człowiek sprawiedliwy zobowiąże się lepiej na przyszłość uważać i koniec.

Przypuśćmy dalej, że tenże człowiek sprawiedliwy przyjdzie do was po raz drugi i po raz drugi będzie wam dawał fałszywego rubla. Wtedy postąpicie i po raz drugi tak samo.

Za trzecim jednak razem, powiecie tak:

— Człowieku sprawiedliwy, szlachetny i kochany! Nie dostaniesz od nas nic, bo człowiek oprócz tego, że jest sprawiedliwy, szlachetny i kochany, powinien być także i mądry i powinien widzieć, co mu kto w rękę wsuwa: czy rubla prawdziwego, czy fałszywego. Kto nie odróżnia fałszu od prawdy, ten nie może być sprawiedliwy.

Rozpatrując to założenie, przychodzimy do wniosku, że w niektórych razach rubel fałszywy może nawet być i pożyteczny, mianowicie, ucząc rozumu ludzi sprawiedliwych, szlachetnych, dobrych i kochanych.

Człowiek taki, gdy go dwa razy oszukają, będzie za trzecim razem uważniejszy, przytomniejszy i nie będzie, odbierając jakieś pieniądze do ręki, marzył o niebieskich migdałach.

Fałsz jest to pomocnicze narzędzie do wydoskonalenia prawdy.

Fałszywych rubli nie będzie z pewnością, jeżeli wszyscy ludzie sprawiedliwi, dobrzy i kochani będą się na nich znali, jak na fałszywych szelągach; jeżeli do-

broć nie będzie uważana, jak dotąd, za cnotę, godną jedynie tego, aby ją „oszwabić“, aby z niej korzystać w celach złych.

Dobroć, szlachetność i sprawiedliwość będzie jednocześnie i mądrością.

A więc, dla umniejszenia w kraju fałszywych rubli, a nawet dla ich całkowitego skasowania, środkiem jest najlepszym: powiększenie narodowej mądrości. Ale ponieważ na powiększenie mądrości, jak to wykazaliśmy, wpływa nadmiar fałszywych rubli, więc ażeby narodową mądrość zwiększyć, należy rubli fałszywych przymnożyć. Przymnożenie to jednak możliwe jest tylko tam, gdzie jest dużo ludzi niemądrych. Więc ażeby fałszywych rubli mogło kursować więcej, należy mądrość narodu zmniejszyć. Czyli, ostatecznie, ażeby mądrość narodową zwiększyć, należy ją pomniejszyć.

Ten środek podajemy ekonomistom do rozpatrzenia, i tymczasem, zanim go rozpatrzą, zastanowimy się, czy jeszcze nie znalazłby się jaki sposób inny, odpowiedniejszy.

XXII.

Jeżeliby z rublem prawdziwym, jak najprawdziwszym, przyszedł do was ktoś, o kim wiecie, że jest fałszerzem pieniędzy i że jest wogóle człowiekiem złym, i jeżeliby ten człowiek, ofiarując wam ruble prawdziwe, jak najprawdziwsze, zażądał od was jakiejś przysługi, jakiejś zbrodni; jakiegoś czynu niecnego, czy zgodzilibyście się, wy, ludzie sprawiedliwi, dobrzy, uczciwi i mądrzy?

— Spodziewam się, że nie.

— A jeżeliby tych rubli prawdziwych było dużo?

— Także nie.

— A jeżeliby tych rubli było bardzo dużo?

— Także nie.

— A jeżeliby było sto miliardów? Jeżeliby fałszerz proponował wam za spełnienie jakiegoś niecnego uczynku tron boski? Jeżeliby, wskazując na wszechświat, mówił: to wszystko będzie twoje, jeżeli, padłszy, uczynisz mi pokłon? Czy i wtedybyście wytrwali i nie ulegli pokusom?

— Tak, tak, tak.

Widzicie więc sami, że są pewne granice, gdzie kończy się władza pieniędzy.

U tych granic fałszerz monet musi się zatrzymać, jak szatan u wrót raju.

Tam, gdzie pieniądz jest bezsilny, fałszowanie tego środka staje się nonsensem. Jeżeli sam prawdziwy rubel tu nic nie może, to fałszywy — tem bardziej.

Z tych rzeczy, których za pieniądze dostać nie można, składa się państwo, gdzie niema miejsca na fałsz.

I tego państwa bramy piekielne nie przemogą.

XXIII.

Za pieniądze nie można mieć tych właściwości, które stanowią p i ę k n o. Można za pieniądze mieć piękne ubranie, piękne konie, piękną kochankę, ale samemu być pięknym za pieniądze nie można... *Pardon!* co do kochanki, nawet kochanka za pieniądze nie może być piękną. Koń — tak, kochanka — nie. Że kobieta sprzedająca się za pieniądze uważa się czasem za piękną — to złudzenie optyczne. Bogacz,

który ją kupił, cieszy się nie jej istotą, lecz poczuciem siły swego majątku. Ten, kto „piękność“ kupuje i „piękność“ sprzedająca się, wymienili tylko między sobą fałszywego rubla: nic więcej. Piękność nie tyle od ciała zależy, ile od wyrazu w oczach; wyraz w oczach zależy od stanu duszy; dusza, która się sprzedała brzydocie za pieniądze, nie może być piękną. Bogacz nie otrzymuje tego, co chciał kupić. Chciał kupić istotę piękną, czyli swobodną, a kupił — niewolnicę. Ptak na wolności i ptak w klatce, to dwie istoty różne. Kupić można tylko drugą. Bo czyż można kupić zorzę? chmurę na niebie? wicher, burzę morską, tęczę, rosę? Te rzeczy są, kiedy im się być podoba; cieszą nas, gdy na nie wówczas patrzymy, ale, gdy przyjdzie na nie czas, nikną, jak miraż i nie chcą zostać, choćbyśmy im nie wiem ile za to płacili. Tak się zachowuje prawdziwe piękno: całem jest dla nas, jeżeli chce, ale bez tego chcenia jest niczem, zamienia się w nicość, i mniemając, że kupujemy cud, kupujemy po nim echo.

I nie można dostać za pieniądze wolności.

To, co się za pieniądze otrzymuje, jest wolności surogatem, ale wolnością nie jest.

Niewolnik, który się wykupił za pieniądze, osiągnął co prawda swobodę poruszeń, ale wolności wewnętrznej nie odzyskał; nie zdobył poczucia odwetu, nie ma wrażenia swej mocy, nie ma pewności, że wróg go się, wolnego, lęka, że go szanuje i ma respekt dla jego potęgi. Wykupić się, to znaczy oddać złodziejowi czy rabusiowi najcenniejsze swe kosztowności, zostawić go pełnego uciechy; wykupić się, to znaczy być panną i dostać się w ręce zbirów i uwolnić się kosz-

tem cnoty. Więzień jest wolny ten, który zmylił czujność straży, który nad nią zapanował, a nie ten, co ją przekupił. Od psa można się uwolnić, rzuciwszy mu kęs na pożarcie, ale od człowieka uwalniamy się dopiero wówczas, gdyśmy opanowali jego wolę, gdyśmy ją zwyciężyli swoim duchem. Nie ten nas uwalnia, który c h c e, ale ten, który m u s i. Rzymski Regulus, który dał słowo Kartagińczykom, że do niewoli wróci, gdy wrócił, nawet będąc w niewoli, był wolnym; gdyby zaś, przekupiwszy straż, uciekł, byłby, nawet na wolności, niewolnikiem; uciekłby ciałem, ale zostałoby w niewoli jego s ł o w o, które dał był, jego dusza zostałaby w niewoli; uwolniłby się ze złamanem słowem, z duszą złamaną.

Tak, kupić sobie pieniądzmi wolności nie można, tak, jak nie można sobie kupić o j c z y z n y.

XXIV.

Kupić sobie ojczyzny za pieniądze nie można tak, jak nie można kupić sobie ojca.

Sprzedać, to jeszcze można ojczyznę, ale nie kupić.

Gdyby ojczyznę można było kupić, to już dawno żydzi kupiliby Palestynę, to i Polska byłaby odbudowana.

Ileż to pieniędzy naszych leży po bankach zagranicznych — pieniądze te może nawet pochodzą ze sprzedaży ojczyzny — taka ilość, że możnaby za nie ze dwie Polski kupić, a jednak tego się nie robi. Dlaczego? Bo Polska wykupiona pieniędzmi, a Polska zdobyta duchem, to są rzeczy tak różne, jak na przykład po-

całunek dziewczyny zapłaconej i dziewczyny, która kocha; to są rzeczy tak odmienne, jak trup i człowiek żywy; to są rzeczy tak wręcz przeciwne, jak grzech i cnota, jak zgnilizna i rozkwit, jak rynsztok i potok w górach czysty, jak hańba i sława, jak śmierć i życie.

Ojczyzny nie można sobie kupić tak, jak nie można kupić sobie rodziców, tak, jak nie można kupić sobie życia.

Rodziców aby mieć, trzeba się z nich narodzić, trzeba ich sobie stworzyć, trzeba, ażebyśmy my, dzieci, byli ich odrodzeniem, byli ich dumą, byli ich rozkoszą, byli ich życiem. My, dzieci, któreśmy w rodzicach żyli, zanimeśmy na świat przyszli, my musimy widzieć, że rodzice w nas żyją, bo swój żywot już skończyli.

Tak samo z ojczyzną. Ojczyznę trzeba sobie s t w o r z y ć. Nie brać jakąś gotową, nie kupować za cenę biletu kolejowego do niej, ani za wywóz do niej swojego zboża, ani za wwóz do niej jej kultury. Ojczyznę swoją trzeba stworzyć, to znaczy, trzeba żyć w niej, tak jak w rodzicach, zanim jeszcze przyszliśmy na świat, a gdy na świat przyjdziemy, trzeba, aby ta ojczyzna uznała nas za synów swoich i aby mogła rzec: teraz mogę umrzeć w spokoju, bo w was się odrodziłam, bo wy jesteście moją sławą, moją rozkoszą i wy — mojem życiem. Życiem mojem jest wasz talent, życiem mojem jest wasz geniusz. Rzeczy tych nie można za pieniądze nabyć: trzeba je w sobie stworzyć. Wyhodowałam w sobie talent wasz i wasz geniusz — to, co stanowi o trwałości życia.

Ojczyzną naszą jest kraina, w której zrodził się

nasz duch. Ojczyzną jesteśmy dla dzieci, którym daliśmy ducha, daliśmy geniusz, daliśmy piękno, daliśmy wolność.

A rzeczy tych żadnymi skarbami pieniężnymi nie można opłacić, za żadne skarby pieniężne nabyć.

Tych rzeczy, których nie można za pieniądze kupić, tych rzeczy nie można i fałszować.

Nie można fałszować piękna, nie można fałszować swobody, nie można fałszować miłości i nie można fałszować ojczyzny.

Piękno duchowe, swoboda, miłość, ojczyzna i fałsz wzajemnie się wykluczają tak, jak światło i mrok, jak wrzątek i lód, jak melodya i wrzask, jak czystość i brud, jak góra i przepaść, jak...

Tak, jak nie może być świetlanej ciemności, jak nie może być wrzącego lodu, jak nie może być wrzasku melodyjnego, jak nie może być brudnej czystości, jak nie może być przepaści wyniosłej, tak samo nie może być fałszywego piękna, fałszywej wolności, fałszywej miłości i fałszywej ojczyzny.

Nie może być. Bo tylko światło świeci, tylko miłość tworzy, tylko swoboda jest ojczyzną i tylko ojczyzna jest prawdziwem pięknem i tylko piękno prawdziwe jest duchem.

KAMIEŃ FILOZOFICZNY

W dnie strumienia leżał kamień i rozmyślał.

Czy kamień może rozmyślać? Owszem, byleby ten kamień był kamieniem filozoficznym. A z kamienia tego właśnie rodzaju pochodził nasz kamień.

Kamień ów znajdował się nie na dnie strumienia, tylko w dnie, to znaczy, że znaczna jego część wystawała nad powierzchnię wody, co umożliwiało kamieniowi wytworzenie sobie pewnego na świat zapatrywania.

Otóż kamień patrzył na świat i rozmyślał o życiu.

Woda naokoło kamienia kłębi się, pieni, huczy i toczy się gdzieś w dal, niezawodnie gnana żądzą oglądania coraz to inszych rzeczy.

Nie można powiedzieć, aby kamień ze swego położenia nie był zadowolony. Przeciwnie. Czuł swoją wyższość nad temi hałaśliwemi, gwarnemi i wiecznie śpieszącemi się falami. Kamień, rozbijający je swoim tułowiem, mile był przez nie w swojej pysze łechtany. Każda fala kłaniała się przed nim, w dal śpiesząc, i rzucała mu w dani pianę. Tak, było to stanowisko kamienia zaszczytne, ale miało jedną stronę ujemną.

Kamień, patrząc tak na fale codzień, począł doznawać zawrotu głowy. Każda z fal w swoim pędzie porywała jego myśl z sobą i wytwarzała w nim pewną tęsknotę ku rzeczom nowym, nieznanym.

Co za rozkosz — myślał kamień — podróżować! Dziś jest się tu, a jutro — tam, a pojutrze gdzie indziej! Ani chwili na jednem miejscu! Wiecznie naprzód! Wiecznie coś nowego. Ach, jakże pragnąłby on, kamień, zostać tą wodą, wiecznie naprzód biegnącą.

Zaledwie kamień wyraził w sobie tę chęć, gdy naraz poczuł, że biegnie, że huczy i pieni się, że pluszcze i werkocze, że dyszy i parska, że — słowem — on, kamień, przemienił się w potok, w wodę.

Chęć urzeczywistniła się. Kamień utracił byt: bytuje potok. Dziś jest tu, jutro tam, a pojutrze o mil sto.

Biegnie woda i biegnie, płynie i płynie, cieszy się swym pędem dzień jeden, drugi i trzeci. W drodze zawadza o swoich niegdyś braci, o głazy skalne, plwa na nich pianą, rozkrusza je na piasek i unosi w dal.

Tej zabawy było dni trzy. Na czwarty dzień woda spostrzegła, że ostatecznie biedz tak i biedz bez ustanku — to również jest czemś niezmiennem, jednostajnem, to również, jak i stan poprzedni, kamienny, jest pewną nieruchomością.

A możeby tak — pomyślała woda — przerwać ten ruch? możeby tak dla odmiany odpocząć? albo możeby zacząć płynąć pod wodę?

Spróbowała woda cofnąć się, popłynąć wstecz, pod górę — ani rusz. Ot ryby, te mogą płynąć i z prądem i przeciw prądowi. Na przykład łososie, pstrągi — te płyną sobie i z biegiem strumienia i przeciw biegowi; jak wola. Ach, jakżeby wodzie chciało się zostać taką rybą.

Zaledwie wyraziła woda tę chęć, aliści słowo stało się ciałem. Woda przemieniła się w rybę. Co za roz-

kosz! Płynie sobie ryba to naprzód, to wstecz, odpowiednio do fantazyi. Płynie sobie to na dnie, to w górze, jak się podoba. Odpocząć sobie może gdzie w trzcinach i roślinach wodnych, stosownie do kaprysu; porozmawiać z bliźniemi sobie rybami, albo raczej z niemi pomilczeć. Oto mi życie dopiero! Nic ponad to niema!

Przechodzi jeden dzień, drugi i trzeci takiego życia rozkosznego, ale na czwarty dzień rybie zaczyna się to przykrzyć. I gdy ogląda się za czemś nowem, spostrzega w górze nad sobą ptaka, który machał skrzydłami i fruwał. Rybie zdawało się, iż ptak ten fruwa, czyli raczej pływa w wodzie. A ponieważ wydał się jej odmiennym jakimś od reszty znajomych, rzuciła się ku górze, aby się z tą istotą przywitać. I dopiero teraz spostrzegła, że jest skrępowana przez żywioł, którym poprzednio była sama, a który obecnie stał się dla niej przeszkodą do wzlatywania w górę. Żywioł ten — woda — nie pozwalał rybie wznosić się i poruszać w tych wysokościach, w ktorych żyją ptaki. Ach, jakże ryba pragnęła teraz być takim ptakiem.

I stała się ptakiem.

Fruwa sobie ptak tam i napowrót w powietrzu, i w prawo, i w lewo, i w dół, i w górę, i cieszy się nowem życiem.

Czy można porównywać ciasnotę wody i gęstość jej z wolną przestrzenią powietrzną? Ani trochę. Ptak ma na usługi i niebo i las i łąki i pola. Ptak jest panem, jest królem przestrzeni.

Tak. Ale jednak jest rzecz i tu, która upokarza jego ptasi majestat. Ile razy ptak zniży lot ku ziemi

i zacznie po niej chodzić, zawsze przekonywa się, że ma nóg za mało. Każdy, by najlichszy czworonóg przywarty jest do ziemi, zrośnięty z ziemią mocniej, aniżeli ptak niebieski. Bo czworonóg ma nogi cztery, a ptak tylko dwie. Jeżeli otwiera skrzydła, to czynność ta nietylko że go do ziemi nie przytwierdza mocniej, ale przeciwnie, od niej odpycha. A na ziemi tak pięknie, tak niewymownie, tak rozkosznie ziemsko! A w górze tak samotnie, tak pustynnie niebiesko! Ach, jakżeby ptak chciał zostać czworonogiem!

Zaledwie wymówił w sobie to życzenie, aliści skrzydła jego przybrały formę drugiej pary nóg i ciało jego uczuło się w czterech punktach z ziemią zrośnięte.

Co za rozkosz! Wiatr żaden nie oderwie już ptaka, który stał się czworonogiem, od ziemi i nie poniesie, jak piórko, wdal. Co za niewysłowione szczęście! Oto już jest czworonóg prawdziwym ziemi obywatelem, w czterech punktach, czterema kończynami oparty na ziemi; czworonóg niemal hipotecznie *glebae adscriptus! glebae adiunctus!*

I czworonóg z całem uniesieniem... nie, raczej z całem obniżeniem się zaczął żyć.

Żyć, to znaczy wykonywać pewien ruch. Ażeby iść naprzód trzeba podnieść naprzód jedną nogę, przednią; trzeba wytrącić się na moment z równowagi stałej, trzeba wyjść ze szczęśliwej czworonożności. Aby zacząć iść, aby zacząć *żyć*, należy bądź co bądź, chociaż na moment z czworonoga stać się trójnogiem, a z trójnoga dwunogiem. A w galopie, chwilami wcale się nie trzeba dotykać ziemi.

Życie więc jest tem bardziej natężone, tem bardziej

ewolucyjne, tem bardziej zbliżone do swobody, im mniejszą ilością nóg jest się do ziemi przytkniętym.

Aby ogarnąć ziemię, trzeba się do niej nie przywierać czworonożnie, lecz trzeba się nad nią wznieść. A wznieść się tem łatwiej, im mniej się nóg posiada.

Więc co? Więc może czworonóg ma zostać znowu ptakiem? Ależ ptakiem już był. Ptak nad ziemią nie panuje, tylko nad powietrzem.

Ach, jakże pragnął czworonóg zostać taką istotą, która ma najmniejszą ilość nóg — dwie powiedzmy — i panuje nad ziemią.

Zaledwie czworonóg wypowiedział tę chęć, gdy wtem przemienił się... w człowieka.

Człowiek — ziemi pan. Nazwać kogo ziemianinem, jest to go uczcić. Obywatel ziemski — tytuł honorowy. Majątek ziemski mieć — znaczy być ziemi władcą. Żyje sobie taki człowiek we wszystkich kierunkach, we wszystkich położeniach, we wszystkich postawach, we wszystkich wypadkach i we wszystkich upadkach tak, jak mu się żywnie podoba. Chce człowiek, to siedzi, chce — leży, chce — pływa, chce, to staje na głowie, chce, to chodzi na rękach... Jest szczęśliwy.

Jednej tylko rzeczy pragnie, a nie ma jej. Pragnie, będąc ziemianinem, władzy nad rzeczami niebieskiemi: nad pogodą, nad chmurą, nad burzą, nad wiatrem, nad powietrzem, nad przestrzenią wolną; nad słońcem władzy pragnie ziemianin, a nie ma jej. Chciałby normować dowolnie, kierować urodzajem, sprzętem, ale jeszcze tych rzeczy nie potrafi. Bo na to trzeba zdobyć przestrzeń, trzeba umieć fruwać po powietrzu.

Jeszcze tylko to. Jeszcze tylko to jedno musi zrobić człowiek: musi zostać latawcem po powietrzu, musi dostać skrzydeł. O, gdyby być... czem? O gdyby być ptakiem!

I człowiek otrzymał skrzydła: został ptakiem napowrót.

Fruwa sobie szczęśliwy ptak po powietrzu, króluje nad niem, żyje. Wszystkie te stany, o których śnił, ma teraz w rzeczywistości. Kiedy jeszcze był ptakiem poprzednio, wydawało mu się, że lepiej być ziemianinem; gdy ziemianinem został, widzi mu się los ptaka lepszy; jest ptakiem i oto zjawiają się przed nim ujemne strony tego stanu.

Żył sobie, żył ptak, ale rychło spostrzegł, że po strawę, po jadło, po żer musi zawsze udawać się na ziemię. Aby podtrzymać w sobie proces życia, musi niebianin zostać ziemianinem, choćby na moment; musi zniżać lot do ziemi, musi upadać.

I zapragnął ptak zostać taką istotą, która, udając się po jadło, nie zmienia swego stanu, nie wychodzi ze swego żywiołu; chciał ptak zostać takiem stworzeniem, które, aby jeść, nie porzuca swej zwykłej atmosfery, nie upadla się, nie zniża, nie popełnia mezaliansu.

Zaledwie ptak wyraził to życzenie, gdy wtem przeistoczył się, został... czem? zgadnijcie?

Został rybą.

Ryba, dla pożywienia się nie wychodzi z wody; ryba nie zniża lotu, jak ptak, chcąc żerować; czasami wprost odwrotnie: ryba wypływa na żer ku górze. Ale zresztą nigdy ryba nie opuszcza swego żywiołu — wody. A jeśli opuszcza, to tylko na to, żeby nie żerować, lecz aby stać się żerem dla innych.

Ptak więc został rybą.

Żyje sobie ta ryba, ale spostrzega, że, chcąc żyć, musi żywić się jakiemiś trawkami — rzeczą niewątpliwie ziemską; albo też zmuszona jest pożerać swoich bliźnich — ryby takie, jak i ona sama, lub cokolwiek odmienne.

I w pierwszym wypadku życie takie to hańba i w drugim. I czyż już na wieki wieków życie ma się kręcić, jak koło osi, koło tego jedzenia? Czy już koniecznie życie ma stanowić żarcie?

Ach, jakżeby pragnęła ryba zostać taką istotą, której nie trzeba pożywienia, która się obywa bez pokarmu, która nie pożera swoich bliźnich. ani nie je żadnego innego zielska.

Gdy ryba wyraziła w sobie tę chęć nowej przemiany, alić w ten moment została tem, czem była ongi, została... wodą.

Płynie sobie woda, pluszcze, huczy, pieni się, bełkoce, rada i szczęśliwa, że uwolnił ją Bóg od konieczności pożerania stworzeń sobie podobnych.

Płynie woda dzień, drugi, trzeci. Aż tu czwartego dnia zdarzyła się tej wodzie rzecz taka. Połknęła ją tak, jak połyka szczupak płotkę — inna woda, obszerniejsza, głębsza, mocniejsza.

A w tej wodzie potężnej, chłonącej inne wody słabsze, kłębią się nieustannie jakieś wiry. Woda ta jest jakimś wszechpochłonem, jakiemś wszechnurtowaniem, podobnem do niezmiernej, nieukojnej tęsknoty, czy rozpaczy, albo męki, że na świecie zawsze trzeba pożerać o ile się nie chce być pożartym; że na świecie zawsze trzeba dążyć albo w jednym kierunku, albo w drugim; że na świecie nigdy, nigdy niema tego chce-

nia, któreby urzeczywistnione nie przeistaczało się w niechęć; że na świecie zjawiamy się poto tylko w jednej formie, aby natychmiast pożądać formy innej; że na świecie, na tym najlepszym świecie, pełnym niewysłowionego, niewymarzonego i ponad wszelkie określenie szczęścia, jest na tym złudnym świecie tylko jedna rzecz naprawdę zbliżona w najwyższym stopniu do tego, co nazywamy szczęściem.

A tą rzeczą jest... zgadnijcie, co jest tą rzeczą?

Jest wielki, cichy, niezamącony spokój kamienny.

Otóż kiedy woda pomyślała to w sobie i powzięła chęć, aby się znalazł jakiś wyraz jej myślom, i kiedy ta chęć zaczęła być dla niej jedyną: wówczas ta wielka, ta skłębiona, ta pożercza woda oceaniczna stała się... czem, zgadnijcie?

Woda stała się kamieniem.

Znalazła stan, z którego wyszła na początku. Z kamienia powstała i obróciła się w kamień.

Powstała z nieskończenie boskiego spoczynku i przemieniła się w cichy, wielki, niewzruszony, kamienny, filozoficzny spokój.